70967
II P
RARA
C.K. BIBLIOTHECA UNIVERSITATIS IAGELL. CRACOVIENSIS

70967
RARA

70967
II RARA P

BRONISŁAWA OSTROWSKA

BOHATERSKI MIŚ



BOHATERSKI MIŚ

CZYLI

PRZYGODY PLUSZOWEGO NIEDŹWIADKA NA WOJNIE

DLA DZIECI OD LAT 10 DO 100

SPISAŁA

BRONISŁAWA OSTROWSKA

ZILUSTROWAŁ

KAMIL MACKIEWICZ

WARSZAWA: E. WENDE I SKA

LWÓW: H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I SKA.
POZNAŃ: M. NIEMIERKIEWICZ. — ŁÓDŹ: LUDWIK FISZER

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

BIBLIOTHECA VNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS

KLISZE Z ZAKŁADU REPRODUKCYJNEGO „ZORZA" W KRAKOWIE
CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

WEJŚCIE W ŚWIAT

Na początku był zgrzyt i błyskanie nożyc w skrawkach brązowego pluszu i sukna, brzęk szklannych czarnych paciorków, szykowanych na oczy, pisk i mruczenie sprężynek, zawijanych skrzętnie w brzuszki pakuł i gałganków. Był stukot maszyny po formach oddzielnych łap, łbów i korpusów, i skrzyp igieł, haftujących jedwabiem dowcipne nosy i wdzięczne pazury. A nad tem wszystkiem unosił się nieprzerwany gwar wesołych głosów kobiecych i śpiew, zawieszonego w klatce u okna, kanarka.

Robotnice śpiewały: tralala! tralala! kanarek wtórował: tirli; tirli! tiur! tiur! tiur! a dwie maszyny odpowiadały sobie wzajem: Ło-mot! ło-mot! tak! tak! tak!

Kiedy i jak przestałem być tem wszystkiem naraz, a stałem się ostatecznie doskonałym, artystycznie wykończonym Misiem?

Czuję jeszcze, jak przebierają, skubią i szczypią bez końca oddzielne części mojej rodzącej się postaci. Gniotą je, przybijają, szyją. Sprężynka pomimowoli mruczy: — Czy to tak będzie zawsze? — Nie. Skończyło się. Ktoś mówi nademną tonem głębokiego zadowolenia: — No! ten mi się udał. I oto jestem już porwany i podniesiony wysoko w górę.

Przez jedno mgnienie oka widzę zblizka zadarty nos i błyszczące oczy mojej życiodawczyni, potem cały szereg podniesionych w moją stronę, szeroko roześmianych twarzy innych robotnic; stukot maszyny i trele kanarka zagłusza donośne hahaha! i hihihi! śmiechu ludzkiego i — nareszcie! — zostaję tryumfalnie umieszczony na najwyższej półeczce tuż przed lustrem.

Tak. Wtedy właśnie — dokonało się. W lustrze zobaczyłem sam siebie, poznałem i odczułem siebie. i jednocześnie stałem się sobą ostatecznie i nieodwołalnie, sobą, Misiem, pluszowym niedźwiedziem z artystycznej krajowej wytwórni zabawek, — bohaterem mego własnego pamiętnika.



— Jesteśmy sami! — oznajmił uprzejmym zgrzytem klucz, zamykając wieczorem drzwi za ostatnią odchodzącą robotnicą.

W odpowiedzi rozległo się wesołe trzaskanie i skrzypienie sprzętów, — zwykła rozmowa oswobodzonych od obecności ludzkiej przedmiotów.

Półki zaczęły opowiadać sobie wzajemnie jakąś niestworzoną historyę o poszukiwanej przez cały dzień szpulce czerwonych nici. Krzesła śmiały się do rozpuku. Robiło się gwarnie i wesoło.

Nagle poważny, brzęczący głos zapanował nad gwarem. Przyjęło go natychmiast ogólne, pełne szacunku, uciszające — „cyt!“

Przemówiło lustro.

— Jestem bardzo stare, — zabrzękło, — bardzo stare! Odbiłom już więcej, niż to sobie wyobrazić możecie. A wiecie wszak, że odbicia nie mijają w nas tak bez śladu, jak to myślą ludzie, ale zbierają się w głębi poza srebrną powłoką dna, tworząc zasób doświadczenia i mądrości. Mówię rzadko. I wtedy tylko, kiedy mam coś do powiedzenia

— Słuchajcie! Słuchajcie! — sykały zaciekawione sprzęty. Księżyc wyjrzał nagle zza chmur w samo okno. Lustro rozbłysło.

— Narodził się dziś w tej pracowni nasz brat, któremu danem będzie dokonać więcej. aniżeli komukolwiek ze świata rzeczy. Chcę go więc przywitać dobrą wróżbą, radą i przestrogą. Do ciebie mówię, Misiu.

Zapanowało zdumione milczenie.

Ja nastawiłem uszy, wytrzeszczyłem paciorki oczu, a sprężynka trzęsła mi się w brzuszku ze wzruszenia.

Lustro podjęło znowu:

— Jesteś najdoskonalszym z Misiów. Odbijałom już setki starszych braci twoich i osądzam bezstronnie. Nie zrozumiesz dzisiaj tego, co ci powiem. Może kiedyś... Jesteś — ***dzieckiem szczęścia.*** — Przyszłość jest twoja. Trzymasz ją w twoich miękkich, szczęśliwych łapach. Lecz na to, by ją wykorzystać, jak należy, musisz sam siebie znać. W tem pragnę ci dzisiaj dopomódz.

— Słuchaj Misiu!

— Jesteś zabawką, stworzoną przez ludzi i dla ludzi. Ale zanim stałeś się Misiem, byłeś, jak każdy z nas, częścią wielkiego żywego świata: druty twe i sprężynki były żelazem w głębi ziemi; sukno — życiem owiec, z których grzbietu zdjęto na nie wełnę; w paciorkach oczu, przez które i ze mną spokrewniony jesteś, stopiły się źdźbła piasku morskiego. Dzięki temu to tylko wszystkiemu możesz dziś mnie słuchać i patrzeć rozumnie na świat. Pamięć bowiem wszystkiego, czem byłeś, myśli, patrzy i słucha za ciebie. Jesteś starą prawdą i nowonarodzonym żartem. Podwójny jest twój los i podwójna droga. To masz wiedzieć.

Umilkło lustro i była chwila ciszy.

— Nie będę mówić wiele, — podjęło wreszcie głębszym, uroczystym brzękiem. — Przed tobą, jak i przed każdym z nas, stoi jedyny, najzaszczytniejszy cel, służyć człowiekowi. — Do tego celu idź. Idź zawsze, jak najśmielej, jak najsamodzielniej, — pamiętając o wszystkiem, czem jesteś. A — dojdziesz. Dojdziesz, na chwałę świata rzeczy, a może i ludzkiego świata. To wszystko.

— No, i — cześć, Misiu!

— Cześć! — zawtórował zgodny chór wszystkich znajdujących się w pokoju, przedmiotów.

Od chwili rozmowy z lustrem całe życie moje stało się niecierpliwością.

Wielkie jutro! Ach, doczekać się go! dorwać do niego! piorunem — telegrafem — już!

Kiedy przyjdzie? jak? skąd? Co mam robić? Gdzie pole działania? gdzie świat? — Ach, byleby prędzej! jak najprędzej!

Nazajutrz nieznana mi wizyta: Chuda pani w długim płaszczu i wielkim kapeluszu i opięty w czarnym tużurku, z me-



lonikiem w ręku, nizki, okrągły pan, czerwony jak burak i łysy, jak kolano.

Rozmawiają. Ważne: podeszwy butów pana skrzypią uroczyście; wielkie guziki, opinające płaszcz pani, połyskują z godnością.

Wiem, — idzie los. — Słucham.

— Więc sądzi pan, panie radco, że nie będzie zbytnią śmiałością z naszej strony prośba o zapewnienie naszym wyrobom miejsca w pawilonie przemysłu artystycznego na Grunwaldzkiej wystawie we Lwowie?

— Ależ, szanowna pani! Jestem tak zachwycony działalnością warsztatów kobiecych, że proszę o jak najszerszy udział ich w wystawie. Przecież wasze wyroby to skończone dzieła sztuki. Choćby ten Miś....

Tłusta, czerwona ręka ze złotym sygnetem na wskazującym palcu zdejmuje mię ostrożnie z półki, maca, naciska...

— Hurra! — mruczy sprężynka. — Hurra, — radco!

Czy zrozumiał? Oddaje mię w ręce rozpromienionej pani. Uśmiecha się szeroko:

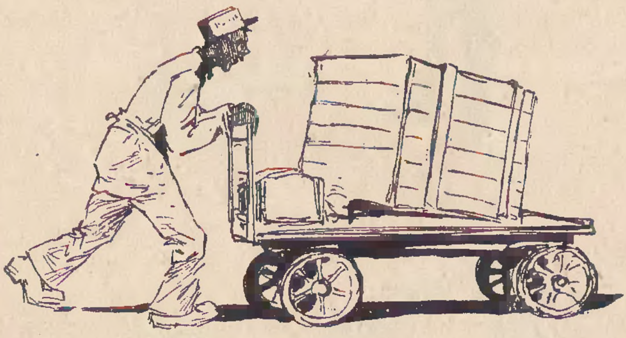
— I proszę, niechże to będzie pierwszy numer katalogu.

Pierwsza podróż. Wymarzona jak cud, a jakże smutna!

Trociny, bibułki. Tłum przygniecionych pajaców, kogutów, lalek. Ciasno, ciemno, — skrzynia zabita szczelnie. Ruch i stukot, — chwilami cisza. Żeby choć wiedzieć — dlaczego?

Deski są milczące i niechętne. Gwoździe wystawiły wprawdzie łebki nazewnątrz, ale też niewiele powiedzieć umieją. Podobno jedziemy.

Jak długo to trwa? Znów trzęsą nami, ciskają.



Nareszcie Deski trzasnęły żałośnie, gwoździe zadźwięczały. Światło. Oderwano wieko. Wyjmują nas. Jesteśmy na wystawie.

Pawilon nasz jest jak namiot królewski. Jaskrawe kilimy śmieją się w słońcu. Rozstawiono nas rzędami na rzeźbionych półkach. Ja sam na honorowem miejscu, jako pierwszy, wedle życzenia radcy, numer katalogu.

Ludzie patrzą.

Więc tu przyjdzie po mnie jutro — los. Jak go poznam

w tym barwnym, wciąż zmieniającym się tłumie? Jak wyglądać będzie? Jak przemówi? Ale przedewszystkiem — czy przyjdzie?

Przyszedł.

Na imię mu było Hala. Miał siedem lat, okrągłą, różową buzię, niebieskie oczy i dwa płowe warkoczyki z czerwonemi



kokardami. Z pod krótkiej sukienki widać mu było smukłe, opalone nogi w sandałach.

I miał brata, dwunastoletniego harcerza Stasia, małego zucha o zgrabnych ruchach i śmiałem spojrzeniu.

Tak wyglądał mój los.

Przyprowadził go miły siwy pan, który na niemy zachwyt dzieci nademną odpowiedział czynem wszechwładnym: pójściem do zarządu wystawy, opłaceniem mnie, a wreszcie zabraniem z półki i wręczeniem Hali i Stasiowi.

I to był początek. Jakby narodziny powtórne, — drugi stopień mojej życiowej karyery.

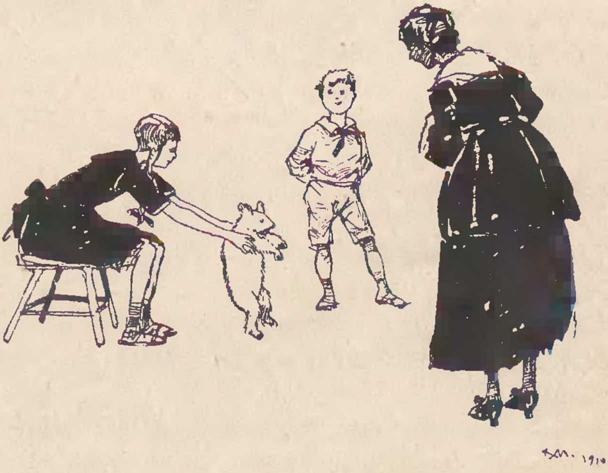
Jakże pięknym wydał mi się świat, oglądany z objęć mojej pani.

Ptaki śpiewały. Wszystko było zalane słońcem. Z placu Wystawy widać było leżące w dole miasto, jak szereg rozstawionych zabawek dziecinnych!

Powoli schodziliśmy do tramwaju. Tramwaj! Czyż jest na świecie coś rozkoszniejszego nad tramwaj? Wsiedliśmy. Jedziemy. — Widać! Mijamy ulice, domy... To jest świat. Tramwaj, wesoło postukując na szynach, opowiada. Ile radości! Jaka szkoda, że musimy wysiąść.

Wchodzimy na schody dużej kamienicy. Dzwonimy do drzwi, jak na pożar. Wpadamy do mieszkania. Hala przedstawia mię domownikom.

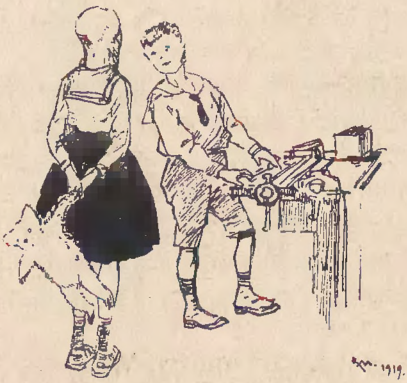
Witają mię wybuchy wesołości. Wszyscy się śmieją. Zrozumiałem już, że ze mną idzie — radość.



Wnoszą mię do dużego, jasnego pokoju dziecinnego. To będzie mój świat.

Hala siada na nizkim stołeczku, zapoznaje mię ze swemi zbawkami, pieści, wreszcie zaczyna mi przymierzać różne kostyumy lalczyne.

Staś przygląda się chwilę, wreszcie stwierdza. nie bez słuszności, że będę w tem wyglądał jak małpa, i odchodzi do stołu, gdzie błyszczą metalowe przyrządy jakiegoś rozłożonego warsztatu.



Ja przyglądam się dzieciom, badam otoczenie i staram się zapoznać ze wszystkiem.

Miło jest. Tak. Stanowczo, będzie mi tu dobrze. Trochę tylko ta rola małpy...

Ale sama Hala zniechęca się do tego wkrótce.

Woła brata.

— Abo co? — odzywa się, nie podnosząc głowy od warsztatu Staś.

— Chciałam z tobą porozmawiać poważnie!

— Ho, ho! — zdziwił się trochę ubliżająco.

— O Misiu.

— A! — zwrócił honor. — Słucham.

— Widzisz, Stasiu, — zaczęła Hala, nie zważając na

lekceważący ton brata, — bo jabym chciała, żeby Miś był zupełnie, jak mój syn.

— Nie mam nic przeciwko temu! — rozśmiał się Staś.

— Widzisz! a śmiejesz się, kiedy ja mówię poważnie! — obraziła się już naprawdę Hala, zaczerwieniona i ze łzami w oczach.

— Ależ nie, Halu! ja wcale ci nie chciałem dokuczyć. Miś jest cudo. Miś jest arcy-Miś.

— A widzisz!

— Więc co?

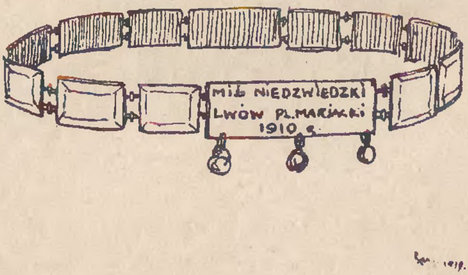
— Chciałam, żebyś mi poradził, jak to zrobić. Bo z przebraniem za dziecko, widzisz, to nie idzie. A przecie Miś naprawdę nie jest zwyczajny niedźwiedź.

— Całkiem nadzwyczajny niedźwiedź! — zgodził się Staś.

— I ja chciałam, żeby on się nazywał tak jak my i żeby wszyscy o tem wiedzieli.

— To go ochrzcij.

— O, Stasiu! ja już wiem! I ty mu zrobisz obróżkę metalową z napisem. — To tak będzie ślicznie! Jak Filutowi... wiesz?



— Obróżkę byś chciała?

— Tak! Mój złoty! I napisze się na obróżce:

„Miś Niedźwiedzki, Lwów, adres i rok 1910“.

— Pięćsetna rocznica Grunwaldu. Ładny rok urodzenia.

— A widzisz! I zrobi się obróżkę i będzie bal. Dobrze, Stasiu! Co? Zrobisz? Zrobisz obróżkę?

— Ma się rozumieć, że zrobię, — zgodził się uroczyście Staś, biorąc mię z rąk siostry. — Będzie mu nawet bardzo do

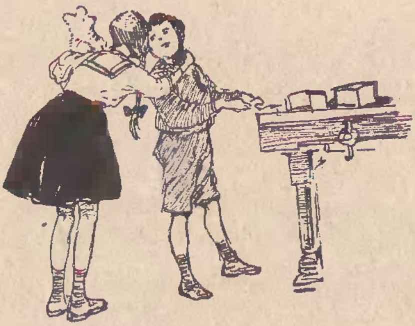
twarzy. Tylko że mam jeszcze dużo roboty dla zastępu, — no i lekcye. A wiesz przecie, co to znaczy, jak się jest skautem.

— Wiem, Stasiu, wiem! To znaczy, że musisz spełniać obowiązki i że na twojem słowie można polegać, jak na Zawiszy, — recytowała Hala, tańcząc jednocześnie ze mną naokoło stołu. — Misiu, żebyś wiedział: Twój pan jest skaut i przyrzekł ci obróżkę. I liczymy na niego, jak na Zawiszę. Tego, co to był pod Grunwaldem. Ach! ty nic nie wiesz! Ja ci to wszystko opowiem.

— To ty będziesz Misia uczyć historyi? — zaśmiał się Staś.

— Ma się rozumieć! — Wszystkiego! Wszystkiego! Przecież to mój syn.

I ucałowała Stasia, a potem mnie.



Moje chrzciny, a raczej uroczystość nałożenia mi obrożki z imieniem, nazwiskiem, adresem i datą, — wypadła wspaniale.

Byli goście, czekolada, gry... A nad tem wszystkiem błyszczała jak złoto obrożka chrzestna, — arcydzieło warsztatu Stasia. Zachwycali się nią wszyscy.

To też kiedy wreszcie założono mi ją na szyję, poczułem sam, że mi jest w niej pięknie i czcigodnie. Wezbrałem dumą.

Hala, jako matka, trzymała mię przy tym obrzędzie, a Staś, zapiąwszy klamerkę, zwrócił się do mnie z następującą przemową.

— Najoryginalniejszy z siostrzeńców, jakiego kiedykolwiek szanujący się skaut chrzcił i ozdabiał obrożką z własnoręcznym napisem.

— Urodziłeś się w pięknym roku 1910, roku jubileuszowym Grunwaldu.

— Jako niedźwiedź masz w sobie coś z dawnego litwina, jako wychowaniec harcerza z drużyny imienia Zawiszy powinieneś mieć coś z rycerza, jako starannie wychowany i kształcony syn mojej siostry jesteś pierwszym niedźwiedziem, kierowanym na obywatela polskiego.

— Misiu Niedźwiedzki, podniesiony do niebywałej w świecie niedźwiedzim godności. Pamiętaj, byś odpowiedział pokładanym w tobie nadziejom.

— Kształć się i czekaj momentu, by wsławić twoje niedźwiedzio-ludzkie nazwisko i oddać znakomite usługi zarówno Ojczyźnie jak i całej ludzkości.

Na tak wspaniałą przemowę wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Ale ja się nie śmiałem. Przypominałem przemowę lustra.





I odtąd zaczął płynąć czas, — jak czas szkolny. Uczyłem się — ludzi.

Odrabiałem z Halą i Stasiem lekcye, słuchałem gawęd, starałem się żyć życiem moich państwa.

Przeszedłem z Halą odrę, ze Stasiem kuracyę zwichniętej ręki. Pokochałem ich. Rozumiałem tak dobrze, że wiedziałem zgóry, jak które kiedy postąpi. Uprzedzałem ich życzenia i nieraz oddawałem przysługi, których oczywiście nie domyślali się wcale. Ludzie są tak niedomyślni!

Z tem wszystkiem nie byłem szczęśliwy.

Było mi ciasno.

W wirze zajęć codziennych nie miałem coprawda czasu na rozmyślania, ale kiedy, wyjeżdżając na wakacye, państwo moi zostawiali mię samego, — ogarniała mię rozpacz.

Więc to ma być wszystko? Cztery ściany pokoju i nauka i zabawa codzienna. Dość już tego! Po cóż łudzono mię? Po co przepowiadano mi wielkość?

Pożerała mię żądza przygód i ciekawość świata.

Buntowałem się.

Czas płynął.

Staś z małego harcerza stał się wysokim, dzielnym chłopakiem, gorącym uczestnikiem organizacyi strzeleckich.

Hala z dziecka wyrastała na poważną dziewczynkę.

Nie! Stanowczo miałem już dość wykształcenia.

Jestem pewny, że zdałbym wówczas bez trudności za



Halę ten egzamin do pierwszej klasy, który ją tak bardzo przerażał.

Niestety jednak to zrobić się nie dało.

Wogóle życie nie nasuwało mi sposobności do żadnego poważniejszego czynu.

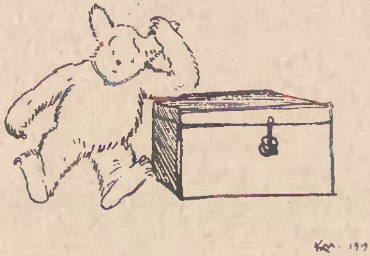
I zaczynałem już wątpić o sobie.

Tak minęło cztery lata od mego wejścia w świat.

Nadeszły wakacye 1914 roku.

Staś miał w kieszeni świetną promocyę do klasy VII, Hala złożyła wreszcie szczęśliwie swój egzamin, i państwo Niedźwiedzcy postanowili pojechać z nimi tym razem w dalszą niż zwykle podróż, — aż nad ocean, na wybrzeże francuskie.

Co ja się nasłuchałem projektów! I o piasku, i o muszlach, i o łodziach, i o oceanie!



Z niewymowną zazdrością patrzałem na pakowane do kuferków przedmioty.

Wartoż było być Misiem, arcydziełem przez wszystkich uznanem, jeśli się ma życie całe butwieć za oknem dziecin-



nego pokoju! Nie lepiejże było być plecakiem Stasia, albo neseserem Hali, które z takim wesołym brzękiem zbierały się do oczekiwanej podróży.

Nie pomagały jednak żale. Nie pomagały nawet i podstępy, kiedy to niewiadomo jakim sposobem znajdowałem się nagle w pakowanej walizce. Byłem zbyt wielki, by wcisnąć się

niepostrzeżenie. Za każdym razem zostawałem haniebnie wyciągnięty i wręczony Hali, która usadzała mię starannie z powrotem na mojem zwykłem wakacyjnem stanowisku, na oknie bawialnego pokoju, — „żebym się nie nudził".

Zostałem.



WOJNA

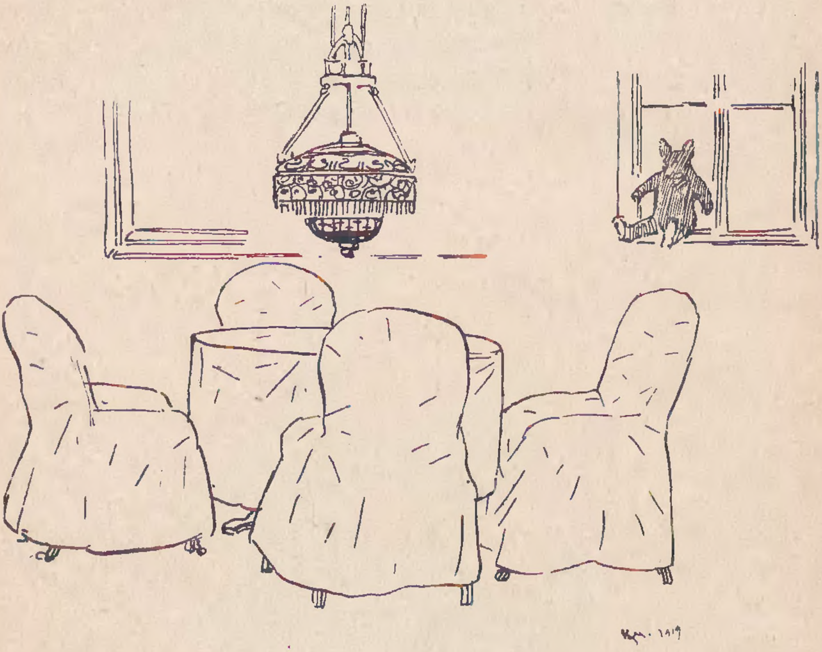
Czuję jeszcze na nosie gorący pocałunek Hali, słyszę stukanie kufrów, nawoływanie państwa Niedźwiedzkich do pośpiechu i żałosne pochlipywanie zostającej samotnie starej kucharki. Widzę dzieci, rozgorączkowane radością, posłańców, bieganinę, kurz... I — koniec.



Drzwi wejściowe zatrzasnęły się, łańcuch zgrzytnął, kucharka, człapiąc pantoflami, przebiegła przez salon i wyjrzała raz jeszcze dla pożegnania przez okno, na którem siedziałem, poczem machnęła ręką, pociągnęła nosem ostatni raz i odeszła do swojej kuchni, zamykając za sobą ostatecznie drzwi od pokoju na klucz.

Byłem sam.

Wszystkie meble w białych płóciennych pokrowcach prostowały się sztywno i godnie. Lampa, wisząca na środku, uśmiechała się melancholijnie przez biały muślin. Parę much tańczyło pod sufitem.



Tak wygląda nuda. Nuda trzymiesięcznego czekania, rozmyślań, obrachunków.

A tam, za szybą odartą z firanek tak szeroko rozpościera się widok na miasto! Plac pod oknami roi się od pojazdów i ludzi. Daleka perspektywa ulicy nieskończonemi pasmami drutów telegraficznych otwiera się na rozjaśniony zachodem świat.

Świat!

Żałość tak silna przycisnęła mię nagle, że zdawało mi się, iż lada chwila jęknę, jak pod naciskiem silnej ręki ludzkiej. Ale sprężynka milczała.

Wszystkie przedmioty pokoju pogrążały się w ospałość wakacyjną. Nikt nie interesował się mną. Cisza dzwoniła w uszach.

Siedziałem na oknie i obliczałem z rozpaczą w sercu, gdzie o tej porze mogą już być moi państwo? I zazdrościłem. I wyzywałem losy.

Nienapróżno.

Minęło dwa tygodnie nudy i bezczynności.

Dnie płynęły jednostajnie. Jedyną rozrywką było codzienne przejście służącej, która przychodziła rano otworzyć okna i sprzątnąć pokoje, a wieczorem zobaczyć, czy wszystko w porządku i okna zamknąć.

Tego ranka, pamiętnego ranka 29 lipca 1914 roku, otworzono mi okno jak zwykle i ciepła fala powietrza i słońca zalała mieszkanie.

Wszystko drzemało.

Smugi kurzu kołysały się w słońcu nad meblami. Wakacyjną nuda królowała wszechwładnie. Dom wydawał się tym zaczarowanym z bajki pałacem, gdzie wszystko śpi. Godziny mijały.

Silniejsza niż zwykle tęsknota i niepokój dręczyły mnie. Ścierpłe od zbyt długiego bezruchu członki ciężyły jak ołów.

Zdawało mi się, że cały świat popadł w podobne zdrętwienie, i że już nigdy, — nigdy...

Nagle tuż za oknami przebiegł dzwoniący, wstrząsający dreszcz.

Był cichy, ale tak przeraźliwy, że całe powietrze zadrgało, ospałość pierzchła, a wszystko dokoła natężyło się oczekiwaniem.

To druty telegraficzne za oknami dzwoniły.

Niezwykła, straszliwa musiała być wieść, którą podawały sobie tym jęczącym dreszczem, jak błyskawicę od słupa

do słupa. Od tak dawna przecie znałem ich mowę. Tyle lat wysyłałem moje podróżnicze marzenia po ich czułych, obejmujących cały świat niciach. A przecie nigdy nie słyszałem w nich takiego dźwięku.

I nigdy na skierowane do nich rozciekawione pytanie nie otrzymałem takiej szorstkiej, nieoczekiwanej odpowiedzi:

— Nie przeszkadzać!

To było wbrew wszystkim uświęconym w świecie rzeczy



zwyczajom. — Cóż się dzieje?

Czekałem w zdumieniu.

Wreszcie zdaleka na ulicy rozległ się krzyk. Krzyk, co nie ścichał, ale coraz bliższy rozrastał się, mnożył, przeciągał.

Natężyłem słuch. Wypatrzyłem oczy.

To pod oknami biegli już roznosiciele gazet z nadzwyczajnemi dodatkami pism.

Pędzili sznurem zziajani, ochrypli, jeden przez drugiego krzycząc miastu nieprawdopodobną wieść.

Pierwsze słowo obce, nieprzytomne wpadło do pokoju, obiło się o ściany, zakotłowało słoneczny kurz i wyleciało z krzykiem dalej, — mącić miasto:

— Mobilizacya!

Ale w ślad za niem wkroczyło drugie, — proste, groźne, a takie wielkie, że napełniło sobą pokój, zalało ulice, ogarnęło świat:

— Wojna.



Nie wiem jak długo nikt z nas nie ośmielił się przerwać milczenia.

Roznosiciele byli już daleko i tylko za nimi biegł ulicami głuchy zgiełk, przerażony bełkot obudzonego piorunem miasta.

Obejrzałem się na pokój.

Tych parę godzin zmieniło go do niepoznania. Zdrętwienie wakacyjne prysło. Wszystko było zbudzone, uroczyste, czujne.

Po starej broni, rozwieszonej na ścianach, przelatywały co chwila ostre, gwałtowne błyski.

I cisza. Ale jakże do tamtej codziennej niepodobna!

Czekamy. Kto odezwie się pierwszy?

Wreszcie!

W staroświeckiem biurku dziada najgłębsza, zapomniana skrytka westchnęła.

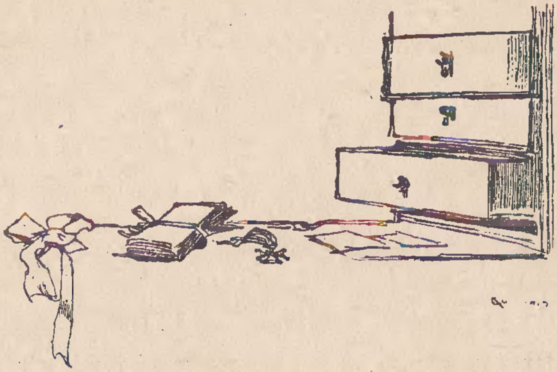
Westchnęła głęboko, głęboko, jak człowiek obudzony z ciężkiego, mocnego snu:

— Znowu wojna!

Ach! więc ona pamięta? wie? opowie?

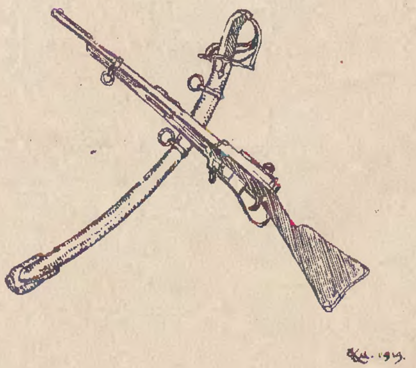
Mówi.

— Wiem. Wiem. Leżał we mnie krzyż zasługi z Napoleońskich wojen: Ułański krzyż z pod Somo Sierry. Chowałam rozkazy Rządu Narodowego i białą kokardę skrwawioną pod Grochowem. I dotąd kryje się we mnie paczka listów pożółkłych, przekradanych niegdyś lasami w sześćdziesiątym trzecim... — a oto jeszcze mało?



— To nie nasza wojna! — skrzypnęła szorstko stara mahoniowa szafa. — Przypomniałaś ostatni kres: — świtki powstańcze. Od tego czasu chowano we mnie samą tylko odzież powszednią. A czasami obce mundury. Niema mundurów naszych i niema naszej wojny.

— Jeszcze jesteśmy my! — syknęła ostrym błyskiem stara szabla ułańska.



— I już jesteśmy — my! — szczęknął butnie nowy karabinek strzelecki, radość i duma Stasia.

Wiedziałem już. Wiedziałem wszystko, choć przecie nie wiedziałem nic. Ani jaka wojna, ani gdzie, ani z kim?

Ale z lekcyi historyi, i z gawęd ideowych, i z tylekroć

słyszanego gorącego bicia serc dzieci powstała we mnie teraz nagła, gorąca pewność.

I zdumiałem się, kiedy wypowiedział ją głośno, wiszący pośród broni, zczerniały, stary ryngraf:

— Każda wojna musi być naszą, jeżeli można walczyć w niej — o Polskę.

— O co chodzi? O co chodzi? — dopytywał się nadaremnie wazon japoński.

Ale nikt mu nie odpowiedział. Tylko dwie francuskie porcelanowe figurki w serwantce wzruszyły ramionami.

Wszystkie przedmioty pogrążyły się w myślach.

Ja byłem wstrząśnięty, odrodzony, szczęśliwy. Nowe życie krążyło po mnie, jak iskry elektryczne.

I każdą najdrobniejszą cząsteczką moją czułem jedno, — czułem nieomylnie:

Wielkie jutro — nadeszło.





Ani tego wieczoru, ani żadnego z następnych stara kucharka nie przyszła zamknąć okien.

Słychać ją było w kuchni, jak płaczliwie i niezmordowanie rozprawiała z sąsiadką, dzięki czemu my mogliśmy bez przeszkody patrzeć, myśleć i mówić.

A było nad czem i o czem.

Przedewszystkiem trzeba było dowiedzieć się.

Co? Gdzie? Jak?

Ale to nie było rzeczą łatwą.

Druty telegraficzne za oknem były wciąż zajęte i zdenerwowane.

Wygląd miasta nie tłómaczył nic.

Ludzie jak błędni snuli się po ulicach. Na rogach rozgorączkowane gromadki stały przed wielkiemi kolorowemi plakatami.

Środkiem szło wojsko.

Jak błękitnawy, potworny, zjeżony żelazną łuską karabinów wąż, — szło, szło bez końca, pod obcą, bezmyślną nutę austryackiej pobudki. Widziałem je wciąż z okna, jak ożywionych cynowych żołnierzyków z dziecinnych zabawek Stasia.

Ale dokąd idą? Przeciw komu? Nikt z nas nie wiedział. Jedyną osobą kompetentną mógł być aparat telefoniczny w rogu pokoju, ale tęn bywał zazwyczaj tak nieprzystępny, że nie lubiłem wdawać się z nim w rozmowy. Mógł się zresztą odezwać sam, — jeśli wiedział.

Ciekawość jednak przemogła.



Z najwyszukańszą grzecznością zwróciłem się do niego, pytając, czy nie wie. Ku największemu zdumieniu otrzymałem odpowiedź wyczerpującą:

— Informacyi? Tak! Tak! Możemy udzielić informacyi. Jaka wojna? — Austryi, oczywiście, że Austryi. Z kim? — Z Serbią. Dlaczego? — Zamordowanie arcyksięcia austryackiego Ferdynanda w Serajewie. Daleko. Tak jest. Tymczasem tylko to. Ale niedługo będziemy mogli z pewnością udzielić nowych szczegółów. Aparaty nasze pracują. Czekamy. Tak jest. Z przyjemnością. Halo. Żegnam.

Błysnął uprzejmie słuchawką i zamilkł.

Nawet taki potentat, jak aparat telefoniczny, był widać tak przejęty wielkością chwili, że zapomniał o fochach i chętnie dzielił się z nami oszałamiającemi nowinami dnia. Może też miło mu było imponować nam swoją wszechwiedzą.

Bądź jak bądź od tej chwili wiedzieliśmy wszystko.

Wisząca tuż obok telefonu, spłowiała mapa ścienna rozpaliła nagle gwałtownie kolory dwóch państw walczących. Żółtość Austryi i róż Serbii aż kłuły w oczy, drgały, gryzły się niemiłosiernie.

Było ciekawie i strasznie.

Czuliśmy, że coś niewidzialnego idzie ku nam, zbliża się...

Już... już..,

Dzień. Noc. Dzień.



Co to? Druty telegraficzne za oknami znów jęczą. Telefon odzywa się niepytany. Rzuca nerwowo tylko dwa wyrazy:

— Niemcy z Rosyą.

Przez miasto leci nowy krzyk.

Na mapie palą się nowe barwy: wielka plama zieleni Rosyjskiej rzuca swój jadowity grynszpan w niebieskie jak farbka granice Niemiec.

Chyba już wszystko?

Nie. Teraz jeszcze straszniejsze, nie do wytrzymania napięte oczekiwanie.

I wreszcie:

— Austrya z Rosyą.

Miasto oszalalo. Ulicami popłynęły tłumy. Załopotały chorągwie. Zabrzmiały mowy.

Zdyszane pośpiechem dnie lecą, niosąc coraz to nowe wieści.

— Francya z Niemcami.

— Anglia.

Mapa płonęła.

A my? A Polska?

Nakreślone kiedyś przez Stasia ołówkiem na mapie, państwo polskie pali się trzema różnemi kolorami.

Z kimże jesteśmy? Przeciw komu? — Jest gorzko.

— Przeciw wszystkim trzem! — buntuje się gorąca pewność.

— Z każdym, byle o Polskę! — zapada postanowienie.

Gorycz pierzcha. Wiem, że będzie, jak musi być, — ale, że musi być — dobrze.



Był dżdżysty, smutny dzień, kiedy w niebieskawym wężu wojsk austryackich pod oknami zobaczyłem pierwszy raz ich szeregi.

Szli, śpiewając.

Wyraźnie, dobitnie, przejmująco dochodziły mię smętne słowa pieśni:

„Dzień deszczowy i ponury.
Z cytadeli idą góry....
Szeregami polskie dzieci
Idą tułać się po świecie".

Drżałem.

Idą. Idą tułać się po świecie, i walczyć, i ginąć.

Pierwszy raz zrozumiałem, zrozumiałem naprawdę, do dna, że nad każdym z tych kochanych, szarych chłopców wisi to straszne, niepojęte coś, — co ludzie nazywają — śmiercią.

Było mi smutno, ale dobrze i dumnie. Wszystko rwało mi się ku nim. Mało nie wyskoczyłem z okna.

A pieśń szła szeroko, młoda, ufna:

„Patrz na tego Mannlichera:
Każdy strzelec nie umiera!
Może uda się,
Że powrócę zdrów
I zobaczę miasto Lwów!"

— Daj wam Boże! Daj wam Boże! — odpowiadałem z całego serca słowom pieśni.

— Daj wam Boże! — mówiły ze mną mury, mijanych przez siwe szeregi, kamienic.

— Daj wam Boże! — tętniły pod nogami deptane kamienie bruków.

A ludzie powiawali chustkami i krzyczeli.

A kobiety płakały.

Pieśń szła:

„Czemu płaczesz, ukochana?
Być żołnierzem rzecz cacana!
— — — — — — — —
Boże, pozwól mi
Dożyć chwilę tą,
Bym Ojczyznę ujrzał swą!“

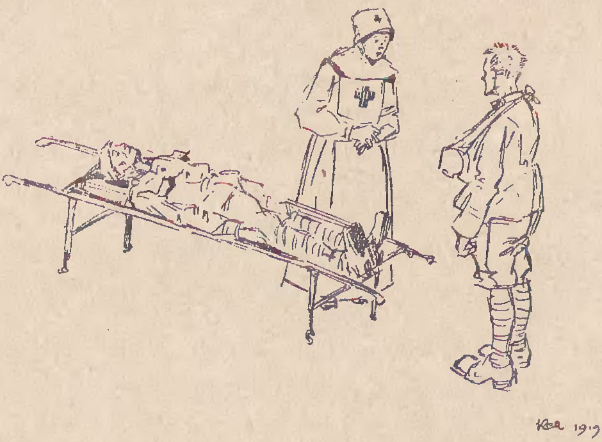


A potem pierwsi ranni.

Biali, dłudzy, leżeli sztywno na płask na swoich noszach, stróżowani przez szare siostry z czerwonemi krzyżami.

Nie wyglądali już jak cynowe żołnierzyki Stasia. Może nawet nie wyglądali jak ludzie... To było samo cierpienie, nieszczęście, śmierć, — to była — wojna.

Więc to ci sami, co tak niedawno przeciągali tu pod oknami mocni, butni, weseli?



Nie mogłem pojąć. Wiedziałem, a nie wierzyłem, że tak jest.

Automobile, wozy, dorożki, jedne za drugiemi jechały wolno, ostrożnie, przeładowane bólem.

Rannych witano płaczem i okrzykami. Rzucano im kwiaty.

Och, te uśmiechy z pod bandaży na woskowo bladych twarzach!

Och, te spojrzenia z pod upadłych kwiatów, straszne niemem pytaniem!

Widziałem je. Widziałem tak dobrze z mego wysokiego okna. Chwytałem je i składałem w pamięci wszystkie, wszystkie!

Tak. To jest wojna.

Chwilami budziło się we mnie mętne przeczucie rzeczy tak okropnych, że moje szklane oczy mrużyły się, łapy opadały, a sprężynka serdeczna drgała przerażeniem.

Ale jednocześnie rwało się coś we mnie w ten wir, w ten świat, w tę wielkość, która tak straszliwie przerosła wszystkie moje marzenia o wielkości.

I oto ja, mały pluszowy niedźwiadek, wobec zapalającego się pożaru wojny europejskiej marzyłem, aby zagarnął mię jej płomień: — pragnąłem w nim rozbłysnąć jedną iskierką sela dla tych wszystkich, co będą walczyli o Polskę.



INWAZYA

Mimo wszystko stawało się nudno.

Siedzieć, jak w teatrze na wysokiem oknie i patrzeć na wojnę europejską, to dobrze dla starego uczonego, (o ile w dodatku byłoby mu dość wygodnie na wysokiem oknie) — albo czy ja wiem zresztą dla kogo, — ale w żadnym razie nie dla takiego żywego, awanturniczego stworzenia, jak Miś.

Tembardziej, że przestawałem rozumieć.

Teraz błękitnawy wąż wojsk austryackich — wracał.

Dniem i nocą ciągnęły pod oknami ciężkie wozy ładowne, dudniły armaty, tabory.

Szyby okien, wstrząsał co chwila cichutki, głęboki dreszcz: „Coś się dzieje".

Miasto wyglądało jak niespokojne mrowisko. Tłumy spieszyły na dworzec z kuframi, pakunkami.

A tymczasem — druty telegraficzne za oknami zamilkły. Telefon przestał sam nas informować. Milczał. Wreszcie, spytany wprost, odpowiedział:



— Przepraszam. Nie funkcyonujemy. Dlaczego? — Racye strategiczne. Nie szerzymy popłochu. Halo. Żegnam.

Byłem wściekły na potentata. — Pęknij z racyami strategicznemi! — mruczałem.

Ale to nie wyjaśniało sytuacyi.

Stare meble wzdychały. Broń na ścianie szczękała niecierpliwie. Figurki w serwantce mdlały. Wazon japoński pełen był najgorszych przeczuć.



Tak zaskoczył nas ranek 3 września głęboką niespodziewaną ciszą.

— Co to? Co to? — zatętniły w każdem z nas gorączkowe pytania.

Ale wszystko niegdyś kompetentne milczało. Telefon niepokoił się i pytał razem z nami:

— Co to?

Pod jaskrawy blask porannego słońca wyjrzałem w dal nad miasto.

Wyjrzałem i przestałem pytać.

Zbyt długo dzieliłem zabawy i nauki Stasia, abym mógł nie zrozumieć.

Z wieży ratusza na tle słonecznego błękitu zwieszała się — biała chorągiew.

To wszystko.

Tak.

Tylko jedna biała szmata, wysoko kołysząca się w wietrze.

Nic więcej.

A przecie miasto umiera.

Zamyka oczy okien. Opuszcza ciężko powieki stor. Bramy domów zatrzaskuje, jak wieka trumienne.

Cóż się stało?

Cóż się zmieniło w tej jednej śmiertelnej chwili.

Co?

— Lwów się poddał.



Oto znów pod oknami sunie potworny, zjeżony żelazną łuską wąż.

Inny!

Czy w pogoni za tamtym?



Rozpościera drapieżnie po ulicach Lwowa szeregi płowych, jak piach stepowy, szyneli.

Wąż wojsk rosyjskich.

Widziałem.

Opustoszałemi ulicami, pod ślepemi oczami okien szli, szli ławą z świstem, tupotem, wrzaskiem i jękiem tarabanów.

Jechali na małych, kudłatych konikach, z wysokiemi dzidami w ręku, w czapach na bakier.

Szli w grubych, szarych szynelach, skurzeni, zmordowani, tępi.

Pułki za pułkami, pułki za pułkami wlewały się w miasto, jak powódź.

Wypatrywałem oczy.

Przecież to wrogi. — Tamci.

Któż oni są? I czego chcą od nas? I co niosą?

Śpiewają.

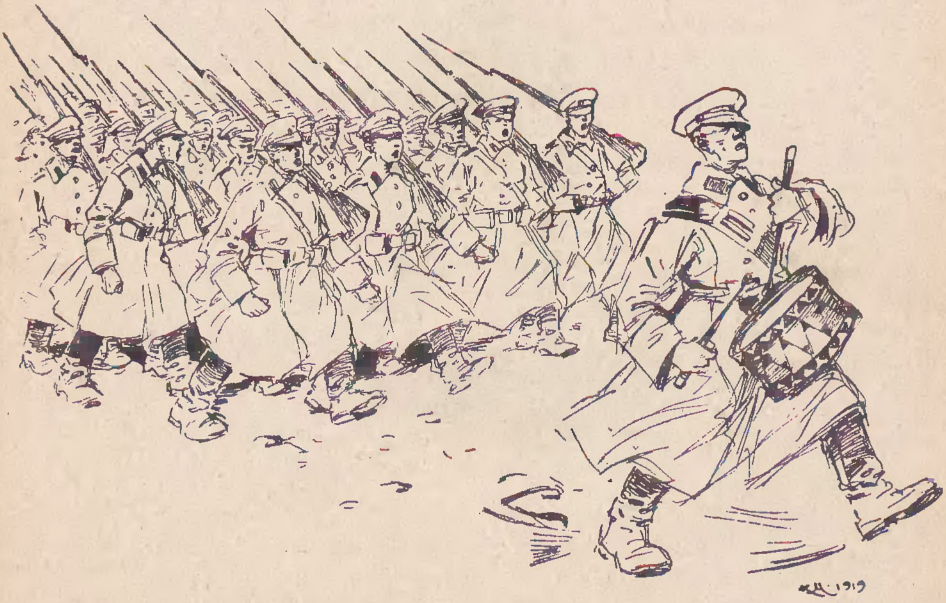
Chór dziki, schrypły, ze zmordowanych śmiertelnie płuc.

Żal mi ich. — Ludzie.

„Soł — da — tisz — ki,
Zdrowo, rebiatiszki!
A gdzie wasze sio — stry?
Na — sze sio — stry
Szable nasze ostre:
Ot, gdzie nasze sio — o — stry“.

Pieśń dzika, szeroka. Obija się o mury kamienic, tłucze. Ciasno tu! Zawodzi. W step by jej!

„Soł — da — tisz — ki,
Zdrowo, rebiatiszki!
A gdzie wasze ma — tki.
Na — sze ma — tki
Te białe pałatki
Ot, gdzie nasze ma — a — tki“.



Miasto się wzdryga.

Tak niedawno brzmiała tu inna, swoja, serdeczna pieśń. A teraz ci? ci obcy?

Czemu przyszli? Ze swej dalekiej, szerokiej ziemi — tu — po naszą?

— Precz! Precz! — dudnią głucho pod ich butami zbudzone bruki.

— Precz! — huczą mijane kamienice.

— Precz! — zrywa się i we mnie jakaś, nieznana dotąd mnie samemu, mocna, zła struna.

Całem miastem idzie ku tym przybyszom groźny, rosnący chór:

— Jakiem prawem?

Tylko biała, wiotka chorągiew na wieży ratusza bełkota coś, wije się, płacze.



Tego wieczoru dzwonek u drzwi wejściowych zaczął terkotać przeraźliwie, jak na alarm.

Drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i wbiegła przez nie najpierw kucharka a za nią dwie sąsiadki.

— Kozaki! — krzyczała kucharka, przysiadając za każdem głośniejszem naciśnięciem dzwonka. — Kozaki!

Obiegły pokój, wypadły z powrotem i zaczęły zatarasowywać drzwi od kuchni.



Dzwonek u wejścia terkotał ciągle.

Rozmyśliły się widać, — wleciały z powrotem.

— Nie otwierać, moja pani! Ja mówię, nie otwierać! — krzyczała jedna.

Rozsądniejsza przekładała:

— Ta cóż, moja pani, nie otwierać? — Gorzej, jak drzwi wywalą, abo jeszcze postrzelą.

Kucharka jęczała.

Jakoż istotnie dzwonek dzwonił, jak opętany. Drzwi dudniły od razów.

Nie było rady.

Gubiąc ze strachu pantofle po drodze, podreptała kucharka otworzyć.

Sąsiadki stały w odwodzie.



Patrzałem ciekawie, co się stanie.

Otworzone drzwi walnęły głośno o ścianę i do przedpokoju wtoczył się, sapiąc i klnąc, gruby mężczyzna w mundurze.

— K'czortu! — zabrzmiało twardo obcym językiem. — Czego nie otwieracie?

Wszedł do pokoju. Rozejrzał się po przesłoniętych wakacyjnie meblach.

— Ujechali? — spytał.

Kiwnęła głową, nie mogąc przemówić ze strachu.

— Nu, sławno! — ucieszył się. — Tak ja tu biorę kwaterę.

— Denszczik! — zawołał w stronę przedpokoju.

Wpadł sołdat o wytrzeszczonych niebieskich oczach. Wyprężył się, jak struna.

— Rzeczy znoś!

Sołdat obrócił się na pięcie i wyszedł. Słychać go było na schodach, jak dygował jakieś tłomoki.

Przybysz rozglądał się po pokoju. Widziałem go teraz dobrze. Chodził. Czerwone lampasy spodni zdradzały generała.



Zajrzał do jadalni. Uradował go widok błyszczącego jak złoto samowara. Stuknął weń palcem i wrócił się do kucharki:

— Postaw samowar. Czaju się chce.

Stara, zrozumiawszy, że jej nie będą mordować, uspakajała się potrochu. Skorzystała jednak skrzętnie ze sposobności wyniesienia się do kuchni razem z samowarem.

Generał wrócił do nas. Usiadł i rozparł się wygodnie w fotelu nawprost okna.

Teraz spostrzegł mnie.

— A, Misza! — zdziwił się. — Sławny.

Wstał, wziął mię i zaczął gnieść na wsystkie boki.

To dotknięcie obcego oburzyło mnie. Co jemu do mnie? Nastawiłem nagroźniejszego marsa i mruknąłem z głębi brzuszka najbardziej wrogiem, ponurem mruknięciem.

Ale taka to już moja dola, że, jakiekolwiek były moje wobec ludzi uczucia, w nich budziłem zawsze tylko niepohamowaną wesołość.

Generał roześmiał się też od ucha do ucha.

Potem coś mu się widać przypomniało, bo westchnął, poklepał mię i postawił na oknie.

— Nu! — zadecydował. — Tak ty już, Misza, pójdziesz dla mojego Miszki.



Nie! to były niegodziwe czasy!

Niedość, że trzeba patrzeć, jak obcy ludzie gospodarzą po kochanych kątach, ale jeszcze w dodatku ta nieszczęśliwa obietnica.

— Niedoczekanie! — trząsłem się z pasyi na samą myśl o Rosyi i tym jakimś generalskim Miszce. I to miałbym ja, ja,



polski, grunwaldzki niedźwiadek Hali i Stasia?! Niedoczekanie!

Trzeba było obmyśleć plany kampanii. Chodziło o to, by obrzydzić tak pobyt przybyszom, żeby jak najprędzej rzucili wszystko i wrócili na swoje śmiecie. A ja się nie dam!

Trudno było dogadać się tylko z kimkolwiek. Wszystko było skwaszone i ponure, jak noc. Wreszcie doszło do zgody.

Za pomocą drutów, murów, bruków porozumieliśmy się z całem miastem. Uchwalono powszechny strejk przedmiotów, nie pierwszy zresztą w świecie rzeczy i pewnie nie ostatni.

Po nocy, źle spędzonej na materacu, wystawiającym

przez prześcieradło wszystkie kłujące koniuszczki włosia, generał obudził się wściekły.

Szuka przygotowanych z wieczora pantofli pana Niedźwiedzkiego.

Jest tylko jeden.

Generał dzwoni. Oczywiście guzik dzwonka wciska się natychmiast wgłąb i nie przestaje terkotać. Wpada przera-



żony denszczyk. Kładzie się plackiem pod łóżko, ale w żaden sposób nie może odkryć, schowanego wysoko między nogą łóżka a ścianą, śmiejącego się do rozpuku pantofla.

Generał, jak niepyszny, wędruje do łazienki w jednym. Tam, lekko tylko otworzony, kran wybucha na niego odrazu takim strumieniem wody, że generał jest ochlapany w jednej chwili od stóp do głów.

— Czortowe dzieci! — mruczy, sapiąc i plując.

W kuchni samowar nie chce się zupełnie zagotować. Denszczyk Griszka napróżno od godziny dmucha nad nim, jak miech kowalski. Śniadanie się spóźnia.

Szklanka mleka wylewa się na paradne spodnie generała. Serweta, wycierająca mu mokre wąsy podsuwa wciąż dziurę pod palec.

Generał trzaska krzesłem i idzie pisać.

Pióra rozczepiają się bez ratunku. W kałamarzu znajdują się zeszłoroczne śmiecie. Na zapisanym wreszcie arkuszu rozlewa się wielki kleks.

Do telefonu! Aparat, informujący nas dokładnie przed chwilą, że generała na gwałt wzywają do sztabu, nagle niemieje i głuchnie, jak pień. Znudzony przez generała, zaczyna



udawać waryata, nawiązując i przerywając jaknajfantastyczniej połączenie.

Wreszcie do drzwi dzwoni przysłany ze sztabu oficer. Muszą wyjść razem z generałem. Pilne.



Drzwi frontowe, które uprzejmie go wpuściły i zamknęły się za nim, są tak zacięte, że żadna siła nie może ich otworzyć. Klucz nie chce się obracać w zamku, zatrzask ani drgnie.

Tymczasem generał szuka szczotki do czyszczenia. Biega kucharka, biega Griszka, oficer zaś majstruje przy drzwiach. Szczotka zapadła w ziemię.

Zniecierpliwiony generał rezygnuje wreszcie z oczyszczenia munduru i z frontowego wyjścia. Zabrawszy oficera, wynosi się przez kuchnię. Griszka coś oberwał po drodze.



Teraz wszystkie przedmioty pękają ze śmiechu.

Szczotka zsuwa się sama na ręce ogłupiałego Griszki. Tęn ma ochotę splunąć, ale przez szacunek dla posadzki wstrzymuje się, siada na stołku i zaczyna pucować generalskie buty.



Słyszę go, jak wymyśla sam do siebie:

— Ciągają człowieka po świecie, cudze wojować. Złe

w tym kraju. Po co mnie tu czortowe sztuki oglądać, kiedy ja mógł u siebie chleb, sól dowoli jęść. Ot, puściliby, sobaki, do domu — wzdycha ciężko.

To jednak przechodzi już całkiem moje niedźwiedzie zrozumienie.

Więc on nie z dobrej woli? Ależ w takim razie...

Nie takie to widać proste słowo — wróg

Potem poznałem więcej tych, którzy z dobrej woli przyszli na naszą ziemię.

U generała bywali wszyscy carscy działacze, co zlecieli, jak kruki do zdobytego miasta, cudze na swoje przerabiać.



Tego dnia generał czekał właśnie ważnej wizyty: miał go odwiedzić świeżo przybyły do Lwowa dygnitarz, o którym aż zbyt wiele wiedzieliśmy już od telefonu.

Drzwi otworzyła przypadkowo kucharka, która na niezwykły widok z całym pośpiechem splunęła trzykrotnie po trzy razy, (co, jak wiadomo, najskuteczniej chroni od uroku,) i uciekła, co siły w nogach.

Generał już prosił gościa do pokoju i sadowił w najwygodniejszym, starym, krytym skórą fotelu dziada. Obok przystawił stoliczek z zakąską.

Gość gładził swoje długie, strączkowate włosy i przedstawiał generałowi plan, mający na celu „przywrócenie rodzimego prawosławia temu rdzennie rosyjskiemu krajowi".

Prosił o poparcie władz wojskowych, użyczenie siły zbrojnej dal wypadków opornych...



Generał godził się, potakiwał. Wymieniono wzajemne grzeczności.

Wreszcie rozmowa zeszła na tematy prywatne i generał zaczął uskarżać się na „nieszczęśliwość" swego mieszkania:

— Prosto złe się sprzeciwia — mówił. — Co robić, ojcze?

— Ikonę by prawosławną powiesić — poradził nieopatrznie gość.

Nieopatrznie, bo tu cierpliwość nasza wyczerpała się i cała pasya na tych zaborców, kłamców i krzywdzicieli wybuchła.

Rosyjski kraj! Prawosławna ikona! Tu!?

Fotel dziada z całem samopoświęceniem wywichnął sobie

nagle na dwie strony obie tylne nogi, i czcigodny dygnitarz znalazł się najniespodziewaniej przechylony wtył aż do ziemi razem z fotelem i grzebiący bezradnie nogami w powietrzu.

Generał rzucił się ratować. Ale tem dał tylko stolikowi sposobność wywrócenia się na leżącego i pokrycia go całym stosem zakąsek.



Wleciał zawołany Griszka.

Po długich tarapatach udało się wreszcie rozczochranemu dygnitarzowi wygramolić z pod wiktuałów, ale usiąść gdzieindziej już ani na chwilę się nie zgodził. Zaraz zaczął żegnać przepraszającego go generała, a wychodząc oglądał się jeszcze wciąż na wszystkie strony z głębokiem niedowierzaniem.

Ikona zawieszoną nie została.

Całą zimę zatruwaliśmy życie generałowi.

Czuliśmy, że miał już tego stanowczo dosyć. Chciał wyrwać się gdziekolwiek z tego „przeklętego miasta“. Miał wyruszać na front.

Wiedzieliśmy, że oczekuje marszruty.

Pewnego ranka niespodzianie odezwał się telefon:

— Halo. Służę informacyami. Tak jest. Sztabowe. Świeżo nadeszły. Generał jedzie na front. Czy wie? Nie. Ma się rozumieć, że nie. Jeszcze nie wie. I nie ja mu to powiem. Dokąd? — W Kieleckie. Z rezerwami. Tak jest. Niezwłocznie. Bardzo mi miło. Halo. Dziękuję.

Zapanowała radość.

Więc generał pojedzie. I to na front, tak, że pewnie nie będzie mógł nic zabrać z sobą. Może w ten sposób ominie mię straszna perspektywa służenia owemu Miszce. Zostawi mię w domu.

Niestety! Płonna nadzieja.

Przyniesiono z piwnicy starą poczciwą skrzynię, przesłaną niegdyś państwu Niedźwiedzkim ze wsi z owocami. I w nią Griszka pod komendą generała zaczął pakować przeróżne zapasy. Znikały w niej jak zaczarowane pudełka konserw, tablice czekolady, wielka paka tytoniu i papierosów, butelki koniaku, torby z kawą i herbatą. Zmieścił się już cały sklep, a jeszcze nie była zapełniona.

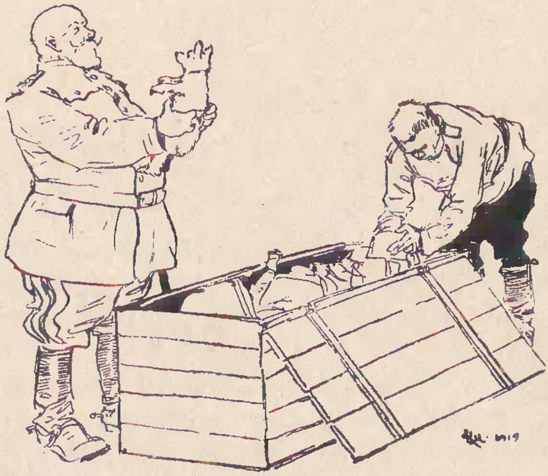
Patrzałem, zawieszony między rozpaczą a nadzieją. Zabiorą mnie, czy zapomną.

Kurczyłem się, jak mogłem na mojem oknie. Już, już myślałem, żem uratowany.

Nagle generał popatrzył naokoło.

— A cóż stąd na pamiątkę weźmiem? A? — zapytał.

— Dawaj Miszę — zdecydował się po chwili.



Griszka skoczył po mnie.

Co ja przeżyłem w tym jednym krótkim momencie! A więc wszystko skończone! Nigdy już tu nie wrócę! Błysnęła mi w pamięci jasna główka Hali, siwe oczy Stasia. Nigdy?!

Każdy szczegół pokoju wrzynał mi się w pamięć, jak nóż. Najmniejszy drobiazg rozdzierał serce rozczuleniem. W tej chwili dopiero zrozumiałem, jak bardzo kocham to wszystko.

Przedmioty żegnały mię uroczystem milczeniem.

Nie! to było zbyt straszne!

Kiedy generał ułożył mię własnoręcznie w skrzyni na wznak, brzuszkiem do góry, zwiotczałego z żalu, zdawało mi się, że sufit wali mi się na głowę.

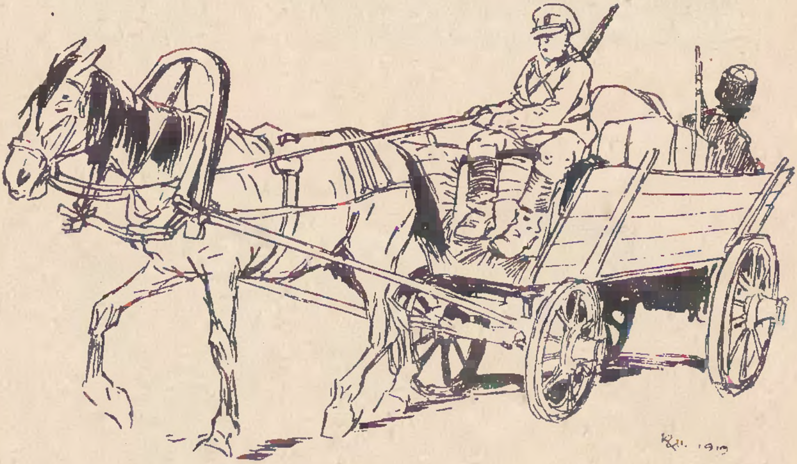
Jak przez sen czułem, że kładą koło mnie, zabrane oprócz mnie na pamiątkę, z jednej strony miedziany samowarek, którego kurek ugniatał mi dotkliwie bok, z drugiej niklową maszynkę do kawy.

Potem obetkano nas na górze serwetami, przyłożono wieko. Usłyszałem tępe ciosy młotka, wbijającego gwoździe w miękką deskę — i — koniec.

Głusza. Ciemność. Nic.

Straciłem przytomność.





Kiedy oprzytomniałem i zacząłem rozmyślać, sytuacya wydała mi się mniej rozpaczliwą.

Prawda, że byłem w rękach rosyjskiego generała, zamknięty w skrzyni i wieziony wbrew mojej woli.

Ale mimo wszystko — jechałem w świat.

To słowo miało zawsze czarodziejską własność pocieszania mnie.

— Nie jesteśmy przecie jeszcze w tej Rosyi, — myślałem, — jedziemy tymczasem w głąb Polski i to na front. Jakoś to będzie!

Najgorzej złościł mię sposób podróżowania. To było dobre dla nowonarodzonego Misia, ale dziś!

Moi towarzysze podróży byli zrezygnowani:

— Nie taki dyabeł straszny, jak go malują — mówił, znający niegdyś Rosyę, samowar. — Zajedziemy do Rosyi — to będziemy w Rosyi.

— Złam kurek! — życzyłem z głębi serca filozoficznemu sąsiadowi, tem szczerzej, że ten kurek ugniatał mię w ciasnocie. — Niewieleś wymyślił. — Możesz spać.

Maszynka do kawy, przywieziona niegdyś z zagranicy, była neutralna i nie chciała wypowiedzieć swego zdania.

Serwetom brakło inicyatywy.

Na szczęście udało mi się wejść w porozumienie ze skrzynią: zacne, sosnowe deski rozumiały o co chodzi, i pękały ze złości na samą myśl o wygnaniu. Gwoździe też były chętne.

— Damy sobie radę! — pocieszały mnie.

I na początek przyrzekły informować o wszystkiem z zewnątrz.

Dowiedziałem się, że jechaliśmy długo koleją, a teraz jesteśmy na podwodzie w końcu szeregu wozów rosyjskiego taboru. Że powozi Griszka. Że musimy zbliżać się do frontu, bo słychać bezustanne strzały.

Istotnie. Nawet do moich zapatulonych uszu dobiegał już głęboki, miarowy huk.

Co za ironia losu! Ja, który tak marzyłem o przygodach, zbliżam się oto teraz do placu boju ściśnięty, jak śledź w beczce i ciemny, jak tabaka w rogu.

Zanudzałem skrzynię pytaniami.

— Co się dzieje? Co się dzieje? — podrywałem się co chwila.

Deski objaśniały cierpliwie.

Nagle — przestały mówić.

Usłyszałem gwałtowny huk, inny jakiś, blizki i trzaskający, potem krzyk, łoskot, — i oto zaczęliśmy nagle trząść się i podskakiwać w ciemności.

Zoryentowałem się natychmiast: Atak. Uciekamy.

Tak było.

Gnaliśmy widać pędem bez drogi, bo wstrząśnienia były coraz silniejsze. Chwialiśmy się z boku na bok, wylatywali w górę i opadali z powrotem.

— Przeważ! przeważ na jeden bok, jak będziemy koło kamienia! — błagałem skrzynię. — Ale zmiłuj się, — mierz dobrze!

Wymierzyła.

Rozległ się trzask, głośne przekleństwo Griszki, walnęliśmy o coś z całej siły — i spokój.

Wieko skrzyni widać odwaliło się na bok, bo zrobiło się trochę jaśniej.

Słyszę lepiej. Tabory musiały już przejechać, bo łoskot i krzyki oddalają się. Konie przy nas szarpią się, tupią. Griszka klnie. Strzały wciąż dalsze grzmią.

Mijają chwile długie, jak lata.

Co będzie? Jaki los przyjdzie tu po nas za chwilę? Co się stanie?

Tupot licznych zbliżających się kroków.

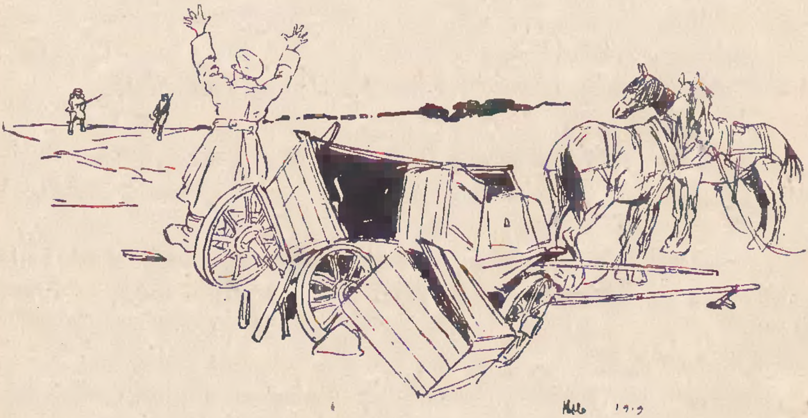
— Sdajuś! — krzyczy Griszka.

Uszy aż się stulają przed tem, co mają usłyszeć. Jakież to będą słowa?

Ktoś mówi:

— Konie byś trzymał, durniu, bo się pokaleczą!

— Swoi!



SWOI

Stali przy wozie gromadką, badając Griszkę.

— Co wiozłeś?

— Generalski tabor.

— Skąd?

— Ze Lwowa.

— Ale? — odzywają się niedowierzające głosy.

— Jej Bogu! — klnie się Griszka.

— Ej, chłopcy! — mówi wesoły, rozkazujący głos, — a zajrzeć tam do jakiej skrzyni.

Nasza skrzynia najbliższa i odbita. Ktoś odrywa do reszty deskę.

— Uważajcie, obywatelu, bo nas wysadzicie w powietrze, — drwi jeden. — To bomby.

— Wypchaj się motylami, to i bez bomby polecisz, nie bój się! — brzmi odpowiedź.

Kochani! Kochani! Każde słowo głaszcze jak miód radością.

Czyjaś ręka wsuwa się między serwety, ostrożnie — szuka, maca.

Wydaję najradośniejszy powitalny pisk. Ręka cofa się gwałtownie.

— Ki licho? — pyta zachłyśnięty zdumieniem głos:

— Dziecko?

— Co gadacie! Byłoby to żywe w tylachnej skrzyni! Zadusiłoby się.

— Zaduszone nie piszczy.

Racya jest oczywista. Nowa ręka ostrożniej jeszcze próbuje gruntu.

Mimo lekkości dotknięcia piszczę z całej siły.

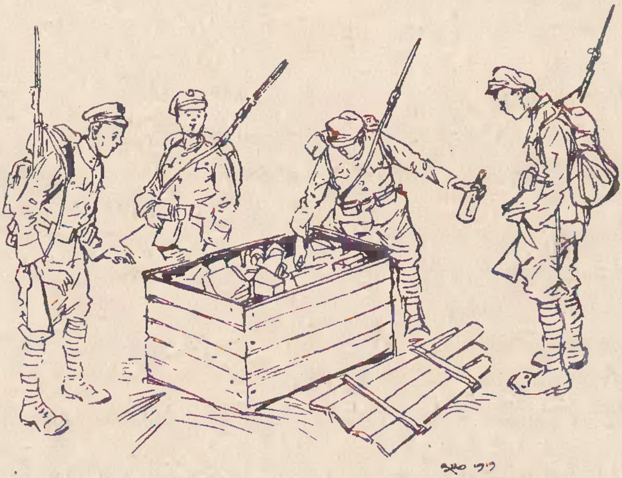
Teraz serwety jedna za drugą furkają w powietrzu. Nareszcie! Oczy mrużą mi się od blasku. Nademną błękitne pogodne niebo wiosenne, a na jego tle kilka pochylonych ku skrzyni, młodych, rozciekawionych twarzy.

Na głowach maciejówki: — Oni!

Nagła salwa śmiechu. Dojrzeli mnie.

Jestem porwany, podniesiony w górę. Wszyscy ryczą. Trzymają się za boki. Oglądają mnie i podają z rąk do rąk.

Ja mruczę, piszczę, szczekam. Śpiewałbym, gdybym umiał.



Ktoś dojrzał obróżkę. Odczytał. Nowa radość.

— A zobaczcie no, chłopcy, co nam przywiózł z sobą ten obywatel? — rozkazuje wesoły głos kaprala.

Przetrząsają skrzynię.

— Hurra! — rozlega się tryumfalnie. — Restauracyę!

— Byczo!

Naprawiają wóz, dygują skrzynię. Siadają, gdzie kto może.

Ja jestem w tryumfie niesiony na rękach.

— Trza go wziąć do meldunku — odzywa się ktoś.

— No! — potwierdzają.

— Kiep jestem, jak go nie przedstawię Dziadkowi.

— Bez śpasów, Szczapa!

Wszystko śpiewa we mnie z radości.

Jakie życie jest piękne!

Z pod jasnego słońca, szeroko, jak okiem sięgnąć, woła — świat.

Za każdym pagórkiem czekają niesłychane przygody.

I jestem — z Nimi!





Przed przyźbą nawpół zburzonej chaty chłopskiej wyprężony jak struna, kapral zdaje raport:

— Obywatelu kapitanie! melduję posłusznie: patrol wróciła bez strat. Wzięliśmy jednego jeńca, jedną podwodę ładowną, parę koni i jednego niedźwiedzia.

— Oszaleliście, obywatelu! Skąd znów niedźwiedzia,

— Ze skrzyni, obywatelu kapitanie.

— Co za kawał? — dawajcież waszego niedźwiedzia.

— Rozkaz, obywatelu kapitanie. Szczapa! — niedźwiedź! Wezwany, pierwszy mój odkrywca, wyciąga mię z pod pachy i podaje kapitanowi.



Staram się skorzystać z tej okazyi, aby wykonać łapą jak najpoprawniejszy ukłon wojskowy.

Kapitan parska śmiechem.

— Gdzieżeście znów takiego wygrzebali? — pyta.

— W restauracyi, obywatelu kapitanie. Całą restauracyę nam przywiózł, — komunikuje z zachwytem Szczapa.

— Jużeście to spenetrowali!

— Skrzynia rozbita, obywatelu kapitanie! — tłómaczy kapral.

— A inne?

— Nie przeszukane, obywatelu kapitanie.

— Dawać je tu.

W skrzyniach okazuje się paka map i papierów generała. Trzeba ją niezwłocznie odnieść do Komendanta.

Kapitan zbiera się. Szczapa usłużnie zaofiarowywa się na ochotnika, nieść paczkę.

Mrużąc oko w stronę kolegów, zabiera jedną ręką pakę, drugą mnie, i wędruje za kapitanem.

Rozglądam się. Widzę teraz, że po tym świecie, który wydał mi się zrazu tak radosnym, — chodzi klęska.

Co chwila strzały grzmią. Tu i ówdzie czernieją świeże zgliszcza. Nie mam czasu o nic ich pytać. Mijamy szybko.

Gdzieniegdzie ziemia skopana, zryta. W dołach i rowach plączą się całe kupy pociętych, zardzewiałych drutów kolczastych. Mijamy.

Jedna chata calsza od innych. Przed przyzbą gromadka oficerów.

— Cześć!

— Cześć!

— Do Komendanta. Z raportem.

Zameldowano. Wchodzimy.

Łapy, potrząsane ruchem niosącego mię Szczapy, szykują postawę najsprężystszej służbistości.

Ktoś siedzi przy oknie, pochylony nad rozłożoną mapą. Ma siwy gładki mundur.

Obraca się. Spojrzał.

Przygotowana sprężystość moja znika, jak sen. W łapach czuję omdlałość wzruszenia.

Z pod gęstej smugi brwi patrzą w bladej twarzy siwe, sokole oczy. Idzie z nich moc skupiona, przenikliwa, jak stal. Cała postać zdaje mi się, jak klinga miecza.

Kapitan salutuje. Składa raport.

Szczapa stoi ze mną przy drzwiach, wpatrzony jak w tęczę — w Dziadka.

— Gdzie papiery? — pyta metaliczny, przeciągający nieco głos.

— Szczapa! — woła kapitan.

Szczapa krokiem żołnierskim podchodzi z papierami, nie wypuszczając ani na chwilę z ręki mnie.

— A to-ż co? — pyta ten sam stalowy głos, tym razem o moją osobę.

Wyprostowany służbiście Szczapa recytuje:

— Melduję posłusznie, obywatelu Komendancie! Niedźwiedź. Zdobyczny.

Uśmiech. Jaki niespodziewanie jasny, dziecięcy uśmiech. Rozjaśnił całą twarz. Oczy zrobiły się miękkie i dobre, dobre.

Szczapa rozpromieniony robi na pięcie foremny zwrot i wychodzi, przyciskając mię czule do boku. Wtedy dopiero ośmielam się cicho, radośnie — westchnąć.

Przed chatą jeden z oficerów zaczepia Szczapę. Ten prezentuje mię na żądanie, dodając z dumą, że sam Dziadek uśmiechnął się do mnie.

Ale i bez tej zachęty wszystkie twarze rozweselają się, jak na urząd.

Przechodzę z rąk do rąk.

— Wcale zuchowaty niedźwiadek, — decyduje jeden z oficerów.

— A wiecie, — mówi drugi, — w Paryżu to takie niedźwiadki przyczepiają do automobilów „na szczęście". Co drugie auto w lasku bulońskim wiozło taką małpę na koźle.

— Moda!

— A może i nie moda. Człowiek zawsze szuka, co mu szczęście przyniesie. Francuzi święcie wierzą w mascotte'y.

— To może i nam Miś przyniesie szczęście.

— Trzebaby go na auto posadzić.

— Idź najpierw fasować auta austryakom!

— E, to i bez auta. Dać go na tabor, — niech jedzie.

— Za porządny niedźwiadek na taborytę!

— Dać go na wóz Dziadka! Niech szczęści.

— Zgoda.

— Szczapa! to wasz niedźwiedź. Dacie go taborytom na wóz Dziadka?

— Rokaz.

I tem słowem rozstrzyga Szczapa mój los.



Gdyby odemnie samego zależało przynoszenie szczęścia ludziom, to z pewnością droga Legionów byłaby szlakiem samej tylko radości i ani jeden zostawiony po drodze krzyż nie płakałby nad żołnierską mogiłą.

Niestety jednak, są przeznaczenia potężniejsze od szczęśliwego magnesu pluszowych niedźwiadków, i, pomimo całego wysiłku moich życzeń, szlak żołnierskiego marszu ku wschodowi słońca był jedną długą rzeką krwi i znoju, gdzie tylu, tylu bohaterów zostało w zimnym grobie, śnić Polskę.

„Śpij kolego, a w tym grobie
Niech się Polska przyśni tobie!"

Radość pierwszych chwil spotkania z Legionami przesłoniła się prędko gorzką troską o ich losy. Regestry, spisy, raporty, wiezione razem ze mną na wozie Dziadka opowiedziały mi ich dzieje aż do dna.

Opowiedziały tajniki związków przedwojennych, o których niegdyś słyszałem już tyle od Stasia i jego strzeleckiego karabinka...

I historyę pierwszego w chwili wojny oddziału „siódemki", co w połowie bez koni, z siodłami na plecach przekroczył granicę Królestwa, by polską konnicę tworzyć.

I wyjście Legionów z Krakowa i pierwsze walki, i luki w szeregach, i nowe, wciąż rosnące zastępy.

Osobiste notatki i mapy Komendanta śpiewały pean niezłomnej, zwycięskiej wiary.

Papiery, przysyłane z austryackiego sztabu, — szydziły.

Listy strat płakały szeregami nazwisk.

Och, pamiętam wszystkie te imiona!

Przy każdem bezmała z nich polowa luneta przesuwała przed nami, jak żywe wspomnienie boju, w którym żołnierz padł.

Widziałem wszystkie te ataki nieustraszone, przedzierania się rozpaczliwe, osłaniania bohaterskie cudzych odwrotów.

I tyle, tyle krwi! Tyle szlachetnych, ukochanych głów, złożonych w czarną, wilgotną ziemię.

Dziś wiem już wszystko. Wiem, że każda kropla tej świętej, za Sprawę przelanej krwi, to było nowe życie, wsączane w żyły obumarłej Ojczyzny. Że bez tego straszliwego żywego zdroju nie mogłaby powstać Polska z pod mogiły.

Ale wtedy to wiedział tylko — On.

I buntowało się wszystko we mnie gorącem oburzeniem przeciw najeźdźcom, zaborcom, krzywdzicielom, co toczyli tę szlachetną krew, — cudze grabiąc.

Tabor komendy brygady ostrzeliwany bywał często i ciężko.

Starałem nieraz porozumieć się z lecącemi kulami. Ale te zbyt były pijane pędem.

Przelatywały tylko tuż koło mnie ze świstem: — „Niosę śmierć!" — a potem padały martwo i pytane, nie pamiętały, kto i przeciw komu je słał.

Były już tylko niewinnemi kawałkami żelaza.

Byłem bezsilny. Nie mogłem ustrzedz nikogo, ulżyć w niczem.

Musieli sami do końca spełnić podjęte dzieło ofiary.

A pełnili je tak radośnie jakby nie o życie a o zabawę tu szło.

Szli szeregami w najcięższy bój śpiewając. Śpiewając brali moskiewskie okopy. Śpiewając marzli na mrozie i gnali milami w skwarze pylnych dróg letnich.

A na czele zawsze On, zawsze myśl Jego, pieśń o Nim...

„Jedzie, jedzie na kasztance,
Siwy strzelca strój...
Hej! hej! Komendancie!
Miły Wodzu mój!
Masz wierniejszych niż stal chłodna
Młodych strzelców rój.
Hej! hej! Komendancie!
Miły Wodzu mój!
Pójdziem z Tobą po zwycięstwa
Poprzez krew i znój.
Hej! hej! Komendancie!
Miły Wodzu mój!



Długo jechałem już z taborem komendy brybady. Zjechałem z nim niemały kawał ziemi polskiej, zdobywany piędź po piędzi, krok po kroku.

Widziałem wreszcie świat. Ale jakże inaczej, niż myślałem. Ruina była wszędzie.

Zburzone, popalone wsie wygrażały w niebo kominami, a, mijane, wołały za nami długo:

— Odbuduj! Ratuj! Mścij!

Po nieobsianych polach szeptał idącemu żołnierzowi lecący wiatr:

— Ostań! Siej!

A trawy łąk, deptanych pochodem, szumiały:

— Koś!

I cała ziemia, jak okiem sięgnąć, wołała doń długo, szeroko:

— Twojam!

Ludzi spotykaliśmy mało. Wróg, cofając się, zagarniał przed sobą ludność, gnaną przemocą z chat, a za sobą zostawiał szczerą pustynię.

W jednej z takich wymarłych wsi zatrzymaliśmy się kiedyś na postój.

Żołnierze rozeszli się gromadkami na zwiady.

Zewsząd wiało śmiercią. Gdy podchodzili do chat, nierzadko rozlegał się we wnętrzu szum i łopot skrzydeł, i ż chat wylatywały stada wron, — znak, że mieszkańcami były tylko trupy. Czasem pies wychudzony stróżował obejścia.

Chłopcy wracali z poszukiwań milczący, zniechęceni.

Jedna tylko gromadka przyniosła raz do taboru niezwykłą zdobycz: małą, czteroletnią może dziewczynkę.

Mówili, że znaleźli ją w pustej szkole wiejskiej, gdzie w izbie leżał trup matki, zabitej uderzeniem granatu. Mała



trafiona była w rączkę odłamkiem i tak przerażona, że ledwie dojrzeli ją, wciśniętą w najciemniejszy kąt, z którego nie dawała się za nic wyprowadzić. Nie powiedziała dotąd ani słówka, nie krzyknęła, trzęsła się tylko jak liść, a po bladej, wychudłej buzi płynęły jedna za drugą wielkie łzy.

Żołnierze obstąpili ją rozczuleni. Dali jeść, głaskali, pocieszali. Tak dawno nie widzieli dzieci! Niejednemu przypomniał się dom. A między nimi więcej wszak było takich, co zostawili w domu małe rodzeństwo, niż takich, do których tęskniły dzieci. Twarze robiły się łagodne, prawie dziecinne.

Zawołano doktora. Zrobił małej opatrunek na poczekaniu, mówiąc, że kość nietknięta i draśnięcie prędko się zgoi. Zaczęły się nowe indagacye, — bezskuteczne. Nikt nie mógł

od dziewczynki wydobyć ani słowa. Trzęsła się wciąż i płakała cichutko.

Zaczęli się obawiać, że straciła mowę ze strachu.

Przypatrywałem się wszystkiemu z mego wysokiego wozu. Budziły się we mnie jakieś dawno już zapomniane uczucia. Mała przypomniała mi Halę. Miała także jasno płową główkę, ale oczy czarne i pełne takiego smutku, o jakiego istnieniu nie myślała pewnie nigdy moja szczęśliwa pani. Zapragnąłem gorąco rozweselić te oczy. Wytężyłem z całych sił dawną, wesołą zdolność przyciągania spojrzeń dziecinnych. Czy się uda?

Mała popatrzyła w górę przez łzy. Czar się dokonał. Łzy obeschły. Drobna rączka podniosła się, ukazując naluszkiem mnie, a trzęsące się usta powiedziały wyraźnie z ostatnim jeszcze przydechem płaczu:

— Niedźwiedź.

Wiara była uszczęśliwiona. Jeden z chłopców poskoczył piorunem, rozciął drut, którym byłem przymocowany do podwody, ujął mnie i, piszczącego zabawnie, podał dziewczynce.



Mała niedowierza. Buzia jednak rozwesela się, jakby padł na nią promień słońca. Ja piszczę coraz śmieszniej. Mała waha się. Wreszcie dwa wychudłe ramionka porywają mnie i przyciskają z całej siły do piersi, w której trzepoce wciąż jeszcze mocno, mocno zbolałe serduszko.

Żołnierze uśmiechają się na ten widok. Ale w niejednem oku błyska łza.

Teraz można już rozmówić się z małą:

Nazywa się Zosia. Zosia Tomicka. Tatusia niema. Była sama z Mamą. Mama uczyła w szkole. Ciocię ma, ale daleko, — aż w „Štaniślawie“.

Żołnierze domyślają się, że to Stanisławów. Ale cóż to pomoże? Stanisławów z tamtej strony. Ani myśleć o odwiezieniu dziewczynki.



Patrzą oto na to maleństwo, które teraz obsypuje mnie pocałunkami, i nawet żal im myśleć o odwożeniu.

Mała od chwili dostania mię w ręce czuje się już, jak w domu. Ktoś posadził ją na wóz, podłożył derkę. Zosia mości się jak najwygodniej i powiada do mnie:

— Tu będzie dom. My tu będziemy mieszkali. Miś będzie z Zosią — heta-wio!

Żołnierze śmieją się. Doktór z oficerem radzą. I tu źle i do szpitala źle. Trzeba oczywicie zabrać małą jak najprędzej z frontu. Niema rady. Ale tymczasem....

— Niechże jedzie z taborem póki co — decydują nareszcie.

Teraz więc jechałem na dalszym taborze w objęciach Zosi, która ze zdumiewającą łatwością przyzwyczaiła się do nowego życia.

Stała się odrazu ulubienicą wszystkich. Każdy przynosił jej, co miał najlepszego, a najmilszą rozrywką żołnierza w taborze było odwiedzanie Zosi.

Sam Komendant, dostrzegłszy kiedyś małą w przejeździe, zatrzymał się i długą chwilę głaskał jej jasną główkę.

Wszystko jednak, niestety, miało się prędko skończyć. W tych dniach jadący do Krakowa lekarz miał zabrać z sobą Zosię i umieścić u jakichś znajomych. Drżałem na myśl o tem.

Mała nie rozstawała się ze mną nigdy. Przypomniałem sobie wszystkie figle dawnych lat, aby tylko nie miała czasu myśleć o przeszłych smutkach, ani patrzeć na otaczającą nas grozę.

Legiony broniły odwrotu armii.

Tabor cofał się już w grzmocie nieustającej kanonady: to het, za nami, tam, gdzie nasi chłopcy trzymali stracone pozycye, — wrzało piekło.

Jechaliśmy sznurem przez las. Noc zapadała.

Byłem ponury i smutny. Gryzł mię niepokój o Nich. Przeczuwałem coś złego.

Wszyscy byli przemęczeni. Mimo huku strzałów i wstrząśnień jazdy, Zosia drzemała. Usłano jej specyalne gniazdko pod płócienną budą i leżała tam sobie zwinięta w kłębek, nie wypuszczając mię z rąk ani na chwilę.

Zrobiło się ciemno. Noc była chmurna, ciężka. Co chwila dalekie race i pociski świetlne rozjaśniały niebo.

Jechaliśmy między rzadkiemi, staremi drzewami, które w tych chwilowych wybuchach światła nabierały fantastycznych kształtów.

W pewnej chwili, gdy skręcaliśmy koło wąwozu, rozległo się nagle wycie, krzyk, strzały.



— Kozacy! — przemknęła błyskawicą myśl.

Konie skręciły z miejsca, i ruszyły z kopyta. Dobrze! Umkniemy.

Ale dlaczego w przeciwną niż reszta taboru stronę?

Ach! to tamte, zdobyczne konie Griszki! Może poczuły swoich?

Daremnie powożący żołnierz zawraca, wstrzymuje. Gnamy bez przytomności. Rzadkie drzewa migają po bokach. Lada chwila możemy się roztrzaskać o pień. Wchodzę w porozumienie z uprzężą. I ta stara się powstrzymać pęd. Wszystko napróżno.

O, jak trudno dogadać się z koniem! Łatwiej niż z człowiekiem, ale jakże trudno!

Przecież my nie chcemy tam jechać! I jakże można

tłuc się tak bez pamięci! To było dobre dla skrzyń, — ale— Zosia!

Mała rozbudzona, z szeroko otwartemi z przerażenia oczami siedzi, trzymając mię konwulsyjnie za łapę.

Słyszymy za sobą zblizka goniących jeźdźców. Wreszcie konie zziajane zwalniają biegu.

Słyszymy przeciągłe:

— Stooj!

Jesteśmy — „z tamtej strony“.



Z TAMTEJ STRONY



Mrużyłem oczy, nie chcąc widzieć straszliwej prawdy.

Więc znowu jestem w ręku wroga.

Nie śmiem myśleć, co się stało z żołnierzem, który nas wiózł zacnym Jaśkiem. Nie śmiem myśleć, co będzie z Zosią.

Czuję na sobie bezustannie jej konwulsyjny uścisk. Bladą jak śmierć twarzyczkę widzę tuż przy moim łbie. Usta zaciśnięte znów milczą.

Nie! nie wolno mi poddawać się rozpaczy. Trzeba myśleć przedewszystkiem o Zosi.

Obandażowane ramię dziewczynki sprawia, że zostajemy oboje skierowani na punkt opatrunkowy. Tam otaczają nas znowu obce, ale jakby mięknące na widok dziecka twarze. Podchodzą do nas dwie siostry miłosierdzia. Jedna z nich, uśmiechnięta i różowa jak lalka zaczyna się głośno rozczulać nad Zosią. Ale doktór zwraca się do drugiej, starszej, o poważnej, surowej twarzy:

— Wy, siestrica, jedziecie jutro?

— Jadę.

— Tak coż jeśliby z małą? a?

— A cóż. Można. Odwiozłabym ją do „prijutu", do znajomych „monaszek". Wiecie?

— Pewnie, że tak. Wam i nie z drogi nawet. Na Stanisławów jedziecie...

To słowo zelektryzowało Zosię.

— W Staniślawie ciocia. Zosia chce do cioci.

Zrozumieli.

— A jaka twoja ciocia dzieciątko? A jak się nazywa? — bada doktór.



Mała nie umie odpowiedzieć:

— Ciocia Mania.

Niczego wy się od niej nie dowiecie, doktorze—konkluduje siostra. — Jakiej mnie tam cioci Mani szukać? Do prijutu małą damy, tak i chwały Bożej przybędzie. Duszę zbawim niewinną.

Drżałem. Wiedziałem ja dobrze o tych prawosławnych w Polsce przytułkach. Jak żywa stanęła mi w oczach głowa o strączkowatych, długich włosach pod stosem zakąsek na przewróconym fotelu we Lwowie. Więc on jeszcze działa? Biedna Zosia!

Muszę przyznać, że myślałem więcej o niej niż o sobie. Całą tę noc spędziłem w niepokoju i rozpaczy.

Próżno jednak łamałem głowę nad obmyśleniem ratunku powrotem do swoich. Nie! nie widziałem rady.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy z siestricą.

Wysilałem się, jak mogłem, na raźną i wesołą minę, aby

choć trochę dodawać ducha Zosi, co siedziała nastroszona jak ptak, pod surowem spojrzeniem nowej opiekunki.

Nie szło nam jednak obojgu z wesołością. Nawet świadomość jazdy nie zdołała pocieszyć mnie tym razem. Przyszłość przedstawiała się zbyt ponuro.



Niedaleko już Stanisławowa do przedziału, którym jechaliśmy, z brzękiem ostróg i szabli wszedł młody oficer.

Coś jak sympatyczna iskierka przebiegło po mnie nagłem przeczuciem — swój!

Czemu? Skąd? Tutaj! A jednak... Mundur ułański, biały orzełek. Tak. Wyraźnie.

Więc oni tu — a tamci... Nagły, krótki błysk przerażenia.

Lecz oto przypominają się długie rozmowy papierów na wozie Dziadka. Budzi się dawna pewność serdeczna z pierwszej chwili wojny:

— „Przeciw wszystkim trzem!"

I postanowienie rozumu niezłomne:

— „Z każdym, byle o Polskę!"

Dobrze jest. Dobrze, że są tu i tam. I ci i tamci wrogów mają przed sobą. I ci i tamci za sobą mają wrogów, a ponad sobą jedyny wszędzie i zawsze cel — Polskę.

— Daj wam Boże!

Młody ułan usiadł koło Zosi. Po krótkiej chwili był już z nami w przyjaźni. Nawet surowa twarz siestricy rozpogodziła się na widok tego młodego uśmiechu, co błyskał mu pod wąsami przy figlch z dzieckiem.

W pewnym momencie dojrzał napis na mojej obróżce. Zdumiał się, potem westchnął:

— To nazwisko i adres moich krewnych. Ba! gdyby oni nie byli gdzieś tam we Francyi, odcięci! Nie byłoby z tobą, maleńka, kłopotu. Ale tak, sam, — nic wam pomódz nie mogę. Już tej cioci Mani aby dobrze szukajcie, siestricó!

Przyrzekła.

Pożegnanie było nad wyraz smutne. Coś jak reszta nadziei odeszło razem z nim i zostawiło sam już tylko smutek. W znalezienie cioci Mani nie wierzyłem.



I słusznie. Ani ogłoszenie w miejscowem piśmie, ani zgłoszenia w urzędach nie pomogły. I oto po paru dniach pobytu w Stanisławowie mieliśmy wyruszać dalej i tym razem beznadziejnie już — do przytułku.

Szliśmy ulicą ku dworcowi. Zosia, trzymając mnie w objęciach, dreptała obok swej przygodnej opiekunki, nie rozumiejąc oczywiście całej grozy położenia. Ja rozumiałem ją za nas oboje. Tępym z rozpaczy wzrokiem patrzałem przed siebie, w daleką perspektywę ulicy.

I nagle... Cy to sen? Czy rozpacz wyczarowała ten najszczęśliwszy obraz z dna pamięci, aby tembardziej straszliwość swą mi ukazać? Czy też to — prawda?

Ulicą nawprost nas idzie przyjaciel naszej podróży, ułan, a obok niego... nie! jeszcze nie mogę wierzyć oczom własnym! — obok niego — moja dawna, kochana pani, — Hala! Hala z panią Niedźwiedzką. Tak jest. Niema wątpliwości! Te lata zmieniły ją wprawdzie trochę, — wyrosła, wysmuklała,— ale te dwa płowe warkocze nie mylą i te oczy śmiejące i każdy ruch znany, niezapomniany, najdroższy!



Zosia także spostrzegła. Wyprzedziła siestricę, podbiega do swego przyjaciela. Ten podnosi ją w górę razem ze mną i przedstawia paniom.

W krótkich słowach streszcza dzieje małej. Widać opowiadał je już poprzednio. Pani Niedźwiedzka słucha z zajęciem. Hala patrzy na mnie. Jedną chwilę niedowierza, waha się, wreszcie spogląda na obróżkę, i oczy jej napełniają się łzami podwójnego wzruszenia:

— Mamo! To jest Miś!

Nie umiem opowiedzieć, co działo się ze mną przez te chwile. Wszystko przeistaczało mi się w oczach. Więc koniec złego! Bo przecie nie wątpiłem ani na mgnienie oka: wszystko rozstrzygnąć się musi szczęśliwie odrazu — albo — nie jestem Misiem.

Byłem Misiem. Znałem moją panią. Już ramionka Hali

oplotły szyję pani Niedźwiedzkiej, główka schyliła się i szepce coś gorąco do jej ucha.

— Ależ oczywiście, moje dziecko! Ależ najchętniej! — mówi matka. — Jeśli tylko ta pani się zgodzi....

Krótkie porozumienie z siestricą: czy pozwoli wziąć sierotkę na wychowanie państwu Niedźwiedzkim. Mała znajdzie opiekę stałą, — będzie jej dobrze. Czego szukać przytułków? Widać los tak zrządził.

W sercu siestricy toczy się walka między domniemanym obowiązkiem religijnym, a rozsądkiem. Ostatni przeważa. Rada, że dziecku będzie tu dobrze i że pozbędzie się sama kłopotu, oddaje uroczyście Zosię i mnie w ręce Hali.

Ostatnia wymiana grzeczności. Wszystkie twarze są rozradowane.

We mnie łka nieme dziękczynienie przeżytego cudu.

Teraz zdaje mi się, że lecę na skrzydłach do mieszkania państwa Niedźwiedzkich.





My, pluszowe niedźwiadki, łączymy w sobie wierność i przywiązanie zwierzęcia z wytrwałością przedmiotu.

Cóż za radość, że jestem znów u mojej pani!

Bieda tylko, że Staś tuła się tam gdzieś jeszcze na obczyźnie! Ale — toż to nie koniec dzieła! — mówiłem sobie.

Odnalezienie w Stanisławowie Hali z matką nie było właściwie takim cudem, jak mi się to z początku wydawało. Zrozumiałem później całą jasność biegu rzeczy. W mojem ówczesnem życiu tylko — to był cud.

Państwo Niedźwiedzcy, zatrzymani we Francyi, jako obcopoddani, zdołali uzyskać po pewnym czasie pozwolenie powrotu do kraju. Że jednak Staś, ukończywszy nauki, wstąpił we Francyi do szkoły lotniczej, pan Niedźwiedzki zdecydował się pozostać z synem.

Hala zaś z matką umyśliły mimo wszystko wracać do domu.

Po powtórnem zajęciu Stanisławowa przez Rosyan dojechały aż tu i postanowiły, tak już czy inaczej, czekać na możność dalszego powrotu.

Bezpośrednio po przyjeździe spotkały się z nami.

Jakąż rozkoszą był mi ten chwilowy u nich wypoczynek.

Zasłużony! Rozbłysk między wczorajszą a jutrzejszą burzą. Powtórnie z Zosią przeżywane dzieciństwo.

Mała ma raj na ziemi.

Nazywa Halę Mamahalą i istotnie znalazła w mojej pani małą, troskliwą mateczkę.

Patrzę z radością na to szczęście, którego jestem poczęści sprawcą i jestem z siebie rad.

Dwom jasnowłosym główkom tak dobrze u macierzyńskich kolan!

O zmierzchu płyną nieskończone bajki.

Zapomina się o świecie, o wojnie....

I tylko czasem zakłuje niespodzianie natrętna, niespokojna myśl:

Że tu oto zrobione już wszystko. I że czas może dalej... Uszy nastawiają się same na lecące ze świata, wieści.





Pewnego ranka zdumiał mię niezwykły wygląd miasta. Cóż takiego?

Ulicami ciągną z radosną pieśnią gromady ludzi, a nad głowami ich powiewają, niby krwawo łopocące na wichrze skrzydła, — czerwone sztandary.

Naprzeciw naszych okien, zdaleka widoczny na frontonie rosyjskiego urzędu, malowany orzeł dwugłowy wyraźnie drży. Widzę, jak zbiega go długi dreszcz, ilekroć załopoce bliżej czerwono płonąca w blasku płachta. Ach! teraz zbliża się wprost ku niemu gromadka przechodniów. Co to? Ktoś podnosi wielki pendzel, ociekający farbą... Niema orła! Już na jego miejscu zawieszono czerwoną chorągiew.

Do domu wracają ludzie z nowinami.

Rewolucya! Car padł. Wielki rosyjski biały car, co słał szeregi zaborców na naszą ziemię, przeciw któremu walczyły od wieka zastępy bojowników Ojczyzny — padł.

Teraz zrozumiałem, co znaczy czerwony sztandar na miejscu dwugłowego orła: to car utonął we krwi, którą przelewał.



Radowało się we mnie serce wolnego niedźwiadka tem zwycięstwem wolności, — ale niepokoiła mię — wojna.



Jak żywy stanął mi w pamięci Griszka. I któż to teraz każe niechętnym wojować?

Przewidziałem słusznie.

Do Stanisławowa jęły dolatywać od frontu trwożne wieści: Armia rewolucyjna pobita. Ucieka w nieładzie. Pali, rabuje, grabi.

Straszna to była noc, kiedy szyby naszych okien zaczerwieniły się od łun, zadygotały od strzałów, grzmiących w mieście.



Hala i Zosia leżały ubrane w łóżeczkach. Mała miała mię tuż przy sobie na poduszce.

Pani Niedźwiedzka modliła się z twarzą ukrytą w dłoniach. Kiedy podnosiła głowę, widziałem, że twarz miała białą, jak wigilijny opłatek.

Co chwila wbiegał ktoś z coraz straszniejszemi nowinami:

— Już na naszej ulicy rabują! Już u sąsiadów!

Blady ranek zajrzał grozą do okien i oświecił wybladłe, postarzałe twarze.

Przyszła chwila, kiedy i brama naszego domu zajękła pod ciosami pijanej rabunkiem tłuszczy.

Jakże głucho zajękła! Huczy jak dzwon na trwogę:

— Idą!

Nie zdołam nigdy opisać wyrazu twarzy pani Niedźwiedzkiej w tej chwili. To jedno widziałem wtedy i długo jeszcze potem, to jedno tylko widziałem.

Ale jednocześnie... Cóż to się stało w mieście? Po rabusiach poszedł nagły popłoch. Ulicą leci wyciągniętym galopem oddział znanego mi polskiego uniformu. I koniec.



Zanim zrozumieliśmy, co się dzieje, — niebezpieczeństwo było usunięte.

To wracający z frontu ułani polscy, obrócili oręż przeciw rabującemu miasto żołdactwu. Uratowali Stanisławów.

W ciągu dnia wpadł do pani Niedźwiedzkiej nasz młody przyjaciel.

Jakże go powitano!

Nie mogąc przemówić ze wzruszenia, pani Niedźwiedzka ściskała mu głowę. Mamahala przyprowadziła Zosię ze mną.

— A ot, przyszedłem się pożegnać, bo nas znowu na front ślą — zawołał na wstępie.

— Jezus Marya! — przeraziła się pani Niedźwiedzka — jeszcze i to!



— Cóż robić! Rozkaz. Im wolno, jak chcą, ale my musimy do końca — mówił, więcej do siebie niż do nich.



— Zosiu, — zwróciła się Hala do małej. — A jakże my mu podziękujemy? Przecież on nas obronił! Cóż mu za to damy na drogę? Na wojnę, Zosiu? Co?

Mała patrzała wielkiemi oczami w swego przyjaciela. I nagle zdobyła się widać na bohaterskie postanowienie. Poczułem na sobie uścisk i pocałunek tak gorący, jak może nigdy dotąd w życiu, — i oto Zosia gwałtownym ruchem wręcza ułanowi — mnie:

— Zosia da mu Misia. Miś z nim pójdzie na wojnę, — będzie go bronił.

Nikt nie śmiał się sprzeciwić bohaterstwu małej.

— Może istotnie przyniesie ci szczęście! — mówiła Hala.

Ułan z uśmiechem, ale wzruszony do głębi, ucałował Zosię, pożegnał się ze wszystkimi, niezręcznym ruchem zabrał mnie pod ramię i wyszedł.

Po chwili byłem zawinięty w płaszcz i przytroczony do ułańskiego siodła.



Pierwszy to raz brałem udział w ataku.

Wprawdzie zawinięcie płaszcza zasłaniało mi nieco widok bezpośredni, ależ i koniom w powozowej uprzęży nakładają przecie klapy na oczy, aby się nie płoszyły patrzeniem w bok. Była to zbyteczna wobec mnie ostrożność, rasa bowiem nasza nie należy do tchórzliwych, ale też przyznać muszę, że było czego się płoszyć.

Trzykrotnie szarżowaliśmy austryacko-niemiecką armię. Mieliśmy rozkaz osłaniania do końca odwrotu tych samych rozprzężonych pułków rosyjskich, przeciwko którym wczoraj jeszcze broniło się miasta.

— A więc wszędzie to samo! — myślałem. — Wszędzie i zawsze!

Wielka jedność polska błysnęła mi, jako rozjaśniająca błyskawica, pośród chaosu strzałów, świstu wichru, piekła impetu walki.

Takie chwile, jak ta, nauczyły mię losów polskich więcej, aniżeli wszystkie niegdyś gawędy i lekcye historyi.

Ale była to straszna nauka.

Pędziliśmy jak wicher. Czułem jak wszystko łamie się przed nami — przeszkód niema.

Tylko co chwila przeraźliwie spokojny głos komendy:

— Szlusuj!

To trzeba ściskać szeregi, które wyszczerbia — śmierć.

Kiedy po trzecim ataku przyszedł ostatecznie rozkaz odwrotu, pułk był zdziesiątkowany.

Mój nowy pan miał czapkę dziurawą, jak sito, a na ciele parę, lekkich na szczęście, ran.

Wracali samotni, wbrew wszystkim i wszystkiemu, wierni obrońcy polskiego honoru.



Pod koniec przewlekłej kuracyi mego pana pewnego wieczoru ktoś cicho zastukał do drzwi.

Patrzałem jak zwykle ciekawie z pod wysokiej lampy, kiedy dwaj goście weszli do pokoju.

Pierwszy — tak, to przyjaciel i towarzysz broni mego pana, — odwiedzał nas często, — ale — drugi?



Kiedy podszedł w krąg światła, o mało nie spadłem z biurka.

Toż to mój chłopiec! Stamtąd. Tak! nie mylę się. Odzież nie zdołała go odmienić. To jeden z oficerów, spotkanych niegdyś przed chatą Komendanta — tam. Najmłodszy.

Siedli przy biurku. Przez sinawy dym papierosów widzę dobrze trzy pochylone ku sobie, młode, szlachetne twarze. Mówią cicho.

Przemieniam się cały w słuch. Cóż się dzieje?

Słyszę. I nagle... Jezus Marya, co oni mówią! To nieprawda!

— Komendant uwięziony. Pierwsza brygada rozwiązana. Większość ludzi po więzieniach. Rozsypka. Źle.

— Cóż będzie dalej? — pyta mój pan.



— Ha! zeszliśmy pod ziemię, jak krety — brzmi odpowiedź. — Skrycie trza znowu iść. Wszędzie dotrzeć. Wszędzie być. Taki rozkaz.

Mówią o organizacyi. O zadaniach pracy.

Pójdziemy razem.

Mój pan oddawna służył już wspólnej sprawie. W organizacyach wojskowych pracował. Stanie się teraz ważną sprężyną ruchu.

Rozmowa schodzi na szczegółowy plan działań. Ręce się uścisnęły.

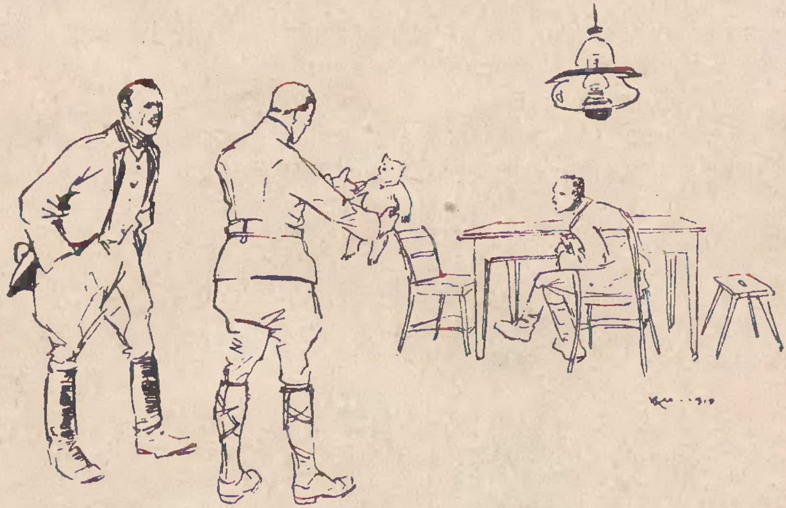
W pewnej chwili czuję na sobie uporczywy wzrok gościa.

— Widzę, że i wy, — odzywa się do mego pana, — macie tu niedźwiadki „na szczęście“. Mnie bo to przypomina inne, lepsze czasy.

Wyciąga po mnie rękę. Och, dać się poznać!

I nagle:

— Jezus Marya! toż to ten sam! Skądżeście go tu wzięli? Czy nie wiecie, co z dzieckiem? Rany Boskie, skądżebyście wy mieli wiedzieć? Szalone rzeczy! — zachodzi w głowę gość.



— Chcecie wiedzieć, co z Zosią? — uśmiecha się gospodarz.

— Co? Wy naprawdę wiecie? No i cóż Zosia? Mówcież! Mówcie!

— A no, Miś doprowadził szczęśliwie małą do swoich państwa, a moich krewnych, Niedźwiedzkich w Stanisławowie, którzy wzięli ją na wychowanie. A mała — raz kiedyś— dała go mnie. Gdzież bo on nie był!

Westchnął na wspomnienie tamtych czasów. Poczem, w krótkich słowach opowiedział dzieje nasze od chwili spotkania w wagonie.

Jak mogłem, podkreślałem słowa jego gestem żołnierskim. To był mój raport. Na końcu mruknąłem z zadowolenia.

— No i pomyślcie, — dziwił się gość. — A myśmy tam za tę Zosię natrzebili kozaków. Żal się Boże! Chłopcy chcieli na gwałt odbijać małą. Ale gdzie? Wiatru w polu szukać. A to ten niedźwiadek zrobił swoje. No! no!

— Ale skąd on się tam u was wziął? — pytał teraz mój pan.

Przyszła kolej na gościa opowiadać moje dzieje w Legionach. Teraz jemu zamgliły się oczy od wspomnień.

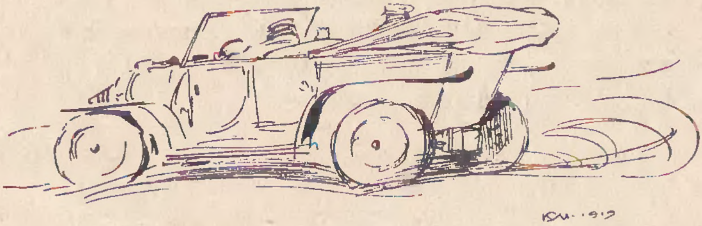
— Ale nie wypuszczajcie już z rąk tej małpy, — rzekł wreszcie, otrząsając się ze wzruszenia. — Niechże on i nas teraz doprowadzi do szczęśliwego portu.

— Jak Zosię! co?

Roześmieli się, poklepali mię na pożegnanie i wyszli.

Nawet „małpą“ nie byłem urażony.





Radość moja stała się zupełną, kiedy, dzięki szczęśliwym okolicznościom, pan mój dostał samochód i, umieściwszy mię na koźle, zaczął objeżdżać w ten sposób szerokie drogi rosyjskie.

Pierwszy raz byłem pijany wiatrem. Zrozumiałem, co to jest pochłanianie przestrzeni. To była rozkosz.

Automobil był pochodzenia belgijskiego. Zacna, solidna maszyna, pełna najlepszych zasad.

Zaprzyjaźniłem się z motorem. Wszystkie części składowe powierzyły mi swoje tajemnice. Prowadziliśmy nieraz długie rozmowy, z których dowiedziałem się wiele.

Automobil tęsknił do kraju i twierdził, że takich dróg, jak w jego ojczyźnie, niema nigdzie na całym świecie. W tęsknocie pocieszało go jedynie to, że służy u nas dobrej i pokrewnej sprawie. Całą siłą bowiem swego czterdziestokonnego motoru nienawidził niemców i pragnął powrotu do wolnej ojczyzny.

Byliśmy sobie blizcy. Rozumieliśmy się i szanowali wzajemnie.

Piękne też były nasze wspólne jazdy.

Ale najpiękniejsza ze wszystkich — ta, co powiodła nas, szalonych pędem i nadzieją, na wieść, że druga brygada Legionów przeszła na naszą stronę.

Motor pędził, jakby już był na drogach belgijskich. W uszach śpiewał wiatr najpiękniejsze marzenia.

Wszyscy troje wstąpiliśmy na służbę do Hallera.

Aż oto radosne drogi nasze przegrodziła błękitna woda Dniepru pod Kaniowskiem obozem.

Tu rozstałem się z moim panem. Poszedł walczyć w szeregach, mnie zostawiwszy na koźle samochodu.

I nie miałem go już wówczas zobaczyć — długo.

Jeszcze jedna bohaterska obrona. Jeszcze jedna klęska. I oto wyciągają się ku mnie obce, najstraszliwsze ręce.

Obóz zdobyli niemcy.



ALIANCI

Obcy ludzie w szarych hełmach obstąpili nasz automobil.

Obcy język brzęczy ciężkim, natrętnym żartem.

Sieroctwo. Złość. Bezradność.

Brrr!

Ale żaden prawowity Miś nie zostaje długo w przygnębieniu. Zresztą mam obowiązki.



Mój przyjaciel samochód, zbyt oszołomiony okropnością losu, postanowił się zepsuć. Od godziny już nie odpowiadał na wszystkie majstrowania i próby puszczenia go w ruch. Dręczony motor odsapywał tylko, potem wstrząsał się gorączkowym szlochem — i milkł.

Była to jednak taktyka niebezpieczna.

— Jeżeli uznają maszynę za beznadziejnie zepsutą, — tłómaczyłem, — gotowi zostawić nas, na Bóg wie jak długo, w jakichś składach, — a wtedy co?

Lepiej przeciwnie, wykazać całą sprawność, żeby jak

najprędzej wysłali nas gdzieś do pracy, — a — świat jest taki szeroki!

Rozumowanie moje trafiło do przekonania motorowi. Wpadł momentalnie w należne, wzorowe tętno i okazał się jak najposłuszniejszem narzędziem. — Zdumienie!

W tryumfie skierowano nas do głównej kwatery.

Po drodze przyjrzałem się po raz pierwszy niemieckim żołnierzom.

Drogą sunął nieprzerwany ich wąż. Jeszcze jeden! Szare hełmy, szare mundury w kurzu gościńca sunęły marszem tak miarowym, że zdawało mi się, iż widzę szereg nakręconych maszyn, a nie ludzi.

Twardym, mechanicznym krokiem szli, niby jakieś nieznane, straszliwe stwory, z innej planety przybyłe — na zabór ziemi.

Nagły, potężny, bezduszny przewala się koło nas takt marszu:

„Deutschland, Deutschland ueber alles!
Ueber alles in der Welt!“



Patrzę z przerażeniem na tę tępą moc. Więc to — to — zwycięża?

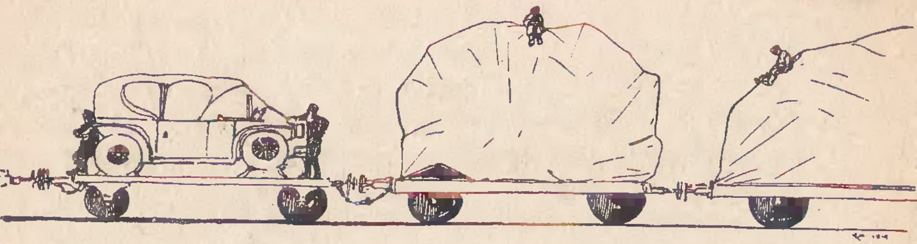
Cała moja niedźwiedzio-ludzka, polska, grunwaldzka tradycya budzi się gwałtownym odruchem.

Razem z motorem belgijskiego automobilu dygocę i podrywam się, jak do skoku.

I to w takich rękach jest w tej chwili pół świata?

Więc w takich rękach mam pozostać ja?!

Nigdy!



Czy to siła mego postanowienia przyciągnęła losy?

Czy tak była zgóry znaczona droga moich przeznaczeń?

Nie wiem.

Dość, że odesłano nas bezpośrednio na zachodni front.

Jedynie dzięki wyjątkowej skrupulatności niemieckiej, nie zostałem odrazu rozdzielony z moim przyjacielem.

Gruby bawar, Hans, który dostał w opiekę nasz automobil, uważałby sobie bowiem za śmiertelne nadużycie, dać naruszyć w czemkolwiek jego całość.

Opakował więc jak najtroskliwiej, co się dało, na mnie zrobił nawet specyalny, nieprzemakalny futerał, i — gotowe! W towarzystwie innych aut, aeroplanów i wszelakiej zdobyczy wojennej zostaliśmy załadowani do pociągu.

Droga była smutna: wszak byliśmy w niewoli. A na dobitkę taki bierny sposób podróżowania oburzał do głębi istoty tak samodzielne, jak samochody albo samoloty.

— Aeroplan koleją wozić! — jęczał z oburzeniem najbliższy nasz sąsiad, samolot.

— Jak to jedzie! Jak to jedzie! — wydziwiały z pogardą automobile na poczciwe, zasapane lokomotywy, stukające nieskończonym szeregiem wozów ciężarowych po szynach.

— Zabytki średniowiecza! — zadecydował samolot i popadł w futurystyczną zadumę.

Eskortował nas gruby Hans i paru innych bawarczyków z tego samego pułku.

Na postojach śpiewali. Słuchałem z ciekawością pieśni. Najczęściej wracał długi, sentymentalny refren:

„In der Heimat! in der Heimat!"

Więc i oni tęsknią do ojczyzny? Ze zdziwieniem odnajdywałem w tych automatach rygoru — ludzi. Przypomnieli mi Griszkę.

— A więc i ci tak samo? — myślałem. — Po cóż tedy wszystko? Po co — wojna?

Ha! nie mnie sądzono to rozstrzygać!



Podróż nasza skończyła się aż w głębi Francyi, w bezpośredniej bliskości frontu, w okolicach Marny.

Tutaj też nastąpiło moje rozstanie z przyjacielem.

Nie zapomnę nigdy tej chwili.

Samochód dostał się na służbę oficera pruskiego. Motor aż się trząsł ze złości pod jego ręką.

W pierwszą podróż prusak zabrał z sobą towarzysza, wracającego na front oficera artyleryi. Ten niezmiernie zainteresował się moją osobą.

— Wiesz, Franz, — mówił do prusaka, — to musiała mascotte'a być. Jacy ludzie głupi, co?

— Najlepsza mascotte'a — to to! — burknął prusak i pokazał mocno ściśnięty kułak, śmiejąc się głośno.

Towarzysz jego oglądał mię ciągle. Zobaczył obróżkę.

— Was ist das? — „Mis Niedzwiedzki"? — zdziwił się napisem.

Prusak popatrzył.

— Do dyabła! Polski niedźwiedź! Ależ zabawna bestya!

Przygniótł mię ręką. Mruknąłem groźnie, krótko.

Roześmieli się obaj.

— Kolossal! — zachwycał się artylerzysta, zmuszając mię do wydawania coraz nowych odgłosów. — Umarłego by rozśmieszył!

— Jak ci się tak podoba to go weź — zaofiarował prusak.

— Co mi po nim?

— Weźmiesz go z sobą na balon.



— Chybaby zrobić z niego jaki użytek — namyślał się chwilę — przymocować mu do obróżki kompas albo mapę. Bo tak... Nie warto.

— Zrobisz, jak zechcesz. Mnie i tak tu nic po nim. Wstyd nawet z takiem głupstwem się wozić.

— Zgoda. Dziękuję. Potem odeślę go siostrzeńcem do domu.

Masz tobie los!

Ledwie zdołałem powstrzymać mego przyjaciela od nagłego zahamowania motoru w trakcie tej rozmowy. Na cóżby się to przydało!

— Zachowaj tę sztukę na moment odpowiedniejszy, — przekładałem. — Napewno przyjdzie chwila, kiedy będziesz bliższy ratunku.

Sam jednak byłem wzburzony do głębi zarówno okazywaną przez niemców pogardą, jak i obietnicą odesłania siostrzeńcom. Tego mi tylko brakowało! Niby mało miałem zmartwień bez tego!

Dojeżdżaliśmy. Nasi pasażerowie żegnali się z sobą.

— Pamiętaj, że ci naznaczam spotkanie — z tamtej strony! — zdążyłem tylko jeszcze szepnąć na pożegnanie wiernemu towarzyszowi niedoli.

W kilka dni później z umocowanym u obróżki kompasem i przywiązaną na tasiemkach dużą, złożoną, podklejoną mapą, znalazłem się wraz z moim posiadaczem w łódce obserwacyjnego balonu.

Całe szeregi takich balonów kołysały się wzdłuż frontu na wysokich linach. Niebo było pogodne. Pełnia lata.

Nastrojony byłem uroczyście i ponuro: Taka chwila! taka rozkoszna chwila — z kim?! Podczas kiedy oficer odbierał ostatnie instrukcye, ja rozglądałem się i zaznajamiałem z otoczeniem.

Nad głową kołysała się nam olbrzymia, a dziwnie bezradna masa balonu. Łódka, otwarta zewsząd, miała kształt pierścienia z otworem w podłodze.

W pewnej chwili przez otwór ten zobaczyłem, że ziemia zaczyna się pod nami zapadać. Zabrakło mi tchu. Co za dziwo! Stoimy przecie. A jednak wszystko z piorunującą szybkością jedzie wdół.

Widnokrąg rozszerza się pod nami i zmienia do niepoznania.

Ziemia ma teraz kształt wklęsły, jak wielka, okrągła, zielona miska. Czarne rysy krają ją, jak pęknięcia. Błękitna wstęga Marny błyszczy w słońcu.

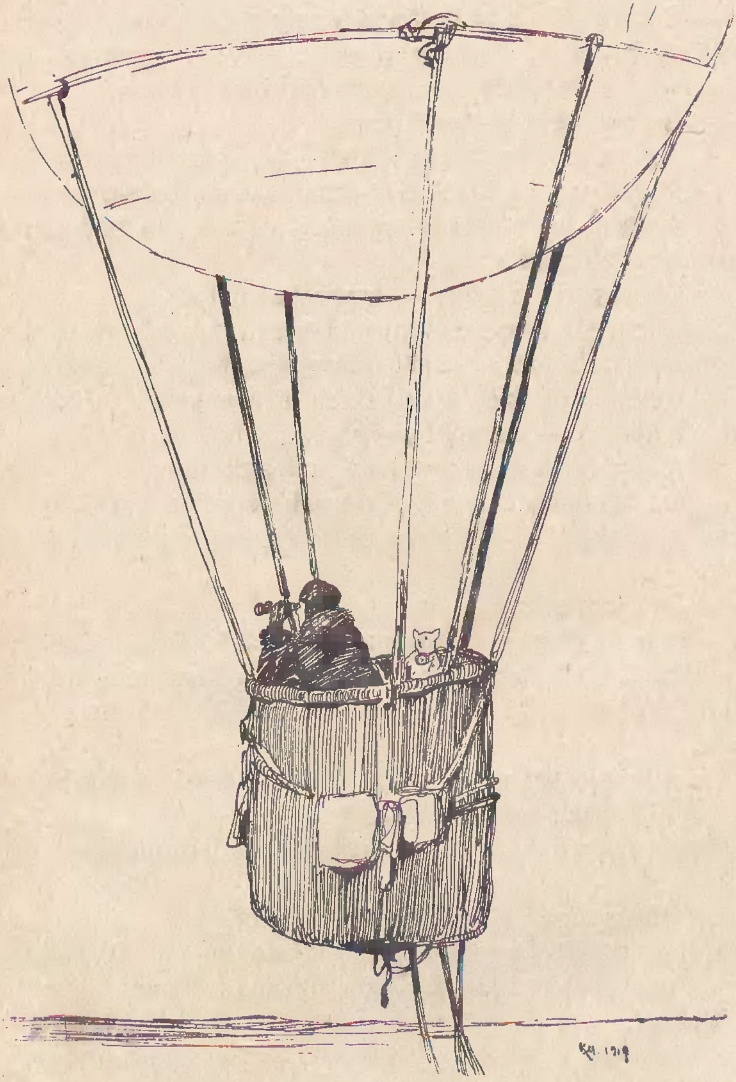
Z dwóch stron długą, jak okiem dojrzeć, linią wybuchają co chwila błękitnawe dymki.

Drobne mróweczki uwijają się dokoła.

Widok jest tak dziwny i piękny, że nie mogę przyjść do siebie ze zdumienia.

Mój oficer ze słuchawką na uszach, z lunetą przed sobą, bada teren.

Zrozumiałem, że porozumiewa się z ziemią. Że kieruje obstrzałem.



Tak. Te śliczne błękitnawe pióropuszyki dymków — to artylerya. Te ruchliwe mróweczki — to wojsko. A ta czarna rysa daleko przed nami — to francuskie okopy.

A więc wystarcza podnieść się trochę w górę, aby patrzeć na wojnę jak na zapasy mrówek?

Ależ ja nie chcę! Nie chce przeciw tamtym!

— Baczność! — zgrzytnęły nagle wyprężone liny. Balon począł się kiwać kłopotliwie w silnie dmącym wietrze, zupełnie jak wielki, dobroduszny, zaniepokojony zwierz.

— Co się stało? — pytałem.

— Nic! nic! fałszywy alarm! — uspokoiła luneta.

— Myślałem, że już leci — martwił się balon.

— Czegóż na takiej wysokości jeszcze się bać można? — badałem zdumiony.

— On napada z góry — wzdychał balon.

Spadochron, przyczepiony do niezwykłego kroju spodni niemieckiego oficera, objaśnił mię wreszcie.

— Balon boi się francuskich aeroplanów. Ciska taki bombę z góry i — krrach! — po wszystkiem!

— A wtedy co? — pytałem zaniepokojony.

— Od tego jestem ja, — odrzekł dumnie. — Wtedy się skacze z łódki, ja się rozwijam i znoszę gościa powoli na ziemię.

— Bez szwanku? — badałem.

— Bez. Tylko, że czasem niezupełnie tam, gdzie chce. Szczególniej, jeśli wiatr zły — jak dziś. Dziś nie radziłbym nikomu skakać. Znalazłby się u francuzów, jak dwa a dwa cztery.

Zrodziła się we mnie nagła, szalona myśl. A gdyby tak... Mam swoją mapę na plecach...

Wytężałem uszy, czy nie usłyszę nadlatującego terkotu. — Nie.

Ale cóż z tego? Czyliż nie mogę sam?

Mój posiadacz pochyla się właśnie po coś. Wziął mnie w rękę, opiera o baryerkę. Chce rozwinąć mapę.

Kichnął.

Korzystam z tego, by całą energią wysunąć mu się nagle z ręki.

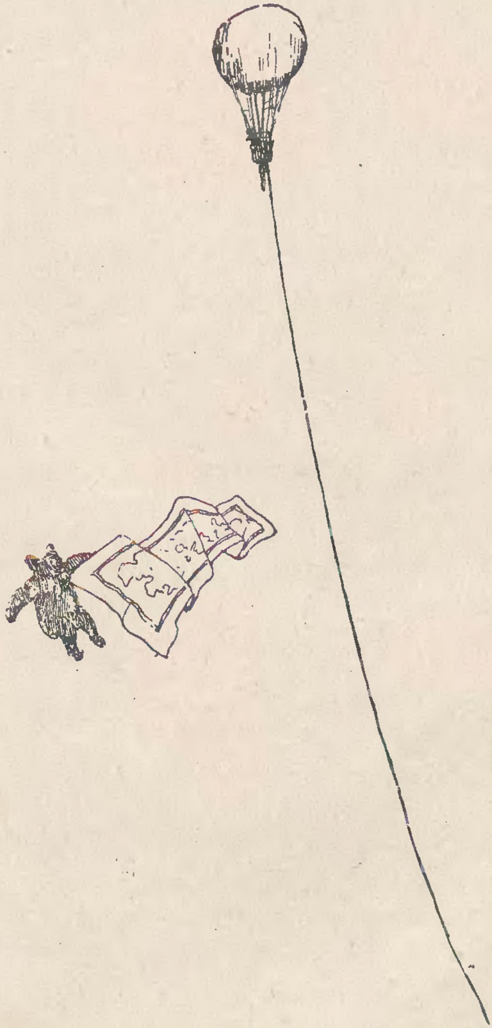
Chce mnie schwycić.

Oho! Akurat! Bez przytomności skaczę w dół.

Zaczepiam się o baryerkę, która chce mnie złapać. Nie

daję się. Co będzie, to będzie! Przymykam trochę oczy i lecę w pustkę.

Chwilę czuję, że spadam wprost, jak kula. Wnet jednakże mapa, przyczepiona do mojej obróżki, rozwija się, tworząc



idealny spadochron, — i oto zaczynam płynąć wolno, łagodnie, coraz bardziej na skos, na skos...

Silny wiatr ponosi mię wyraźnie ku Zachodowi.

Spadochronowy pas niemca mówił, że to wiatr zły.

Błogosławiony wiatr!

— Byle dalej! byle dalej niósł! — piszczy we mnie jedyne świadome błaganie.

W pewnej chwili widzę pod sobą błękitną wodę Marny. Lecę ciągle.

Tracę rachubę czasu. Nie wiem już nic.

W dole jakieś okopy. Lot mój zaczyna powoli opadać.

Ląduję.

Upadek z takiej wysokości, choć złagodzony spadochronem mapy, oszołomił mię jednak.

Kiedy znalazłem się wreszcie na ziemi, byłem nawpół przytomny. Zdawało mi się, że śnię.

Tak. To jest — dawno.

Siedzimy kołem przy stole jadalnym, we Lwowie. Staś czyta głośno „W pustyni i w puszczy“ Sienkiewicza. Słucham, jak czarne, zdumione głowy murzynów oglądają latawiec. Białka oczu i zęby błyskają.

Nie. Niema stołu, niema Stasia, niema książki. A przecie czarne twarze pochylają się wciąż zdumione, a wywinięte wargi błyskają zębami.

Przytomnieję. Gdzież jestem?

Otaczają mnie istotnie czarni. Okrążyli ciasno miejsce, na którem leżę, i pokazują jednocześnie na niebo, tłomacząc gorąco:

— On spadł z góry.

Rzecz jest wzajemnie niepojęta: ani oni nie wiedzą, skąd ja się tu wziąłem, ani ja nie mogę pojąć, skąd oni?

Po chwili jednak zjawia się oficer — francuz.

A więc jestem uratowany.

Tak. To „kolorowe“ pułki francuskie. To okopy sprzymierzeńców.

Ja pierwszy zrozumiałem sytuacyę.

Oficer jest z kolei niemniej zdumiony, jak czarni:

— Voyons! Voyons! un ours? Niedźwiedź? Spadł z nieba? Ah, c'est trop fort!

Bierze mię ostrożnie w ręce. Ogląda mój spadochron. Mapa niemiecka, sztabowa. Mimowoli patrzy w górę. Z tamtej strony, daleko, kołysze się wielki, biały balon.

— Ça! Par exemple! — kiwa głową. — Nie, to niemożliwe. Zadaleko. A przecież?

Zabiera mię wesoło pod pachę i odchodzi.

Za nami czarni patrzą z zabobonnym strachem. Niedowierzają stworzeniom, spadającym z nieba. Co to z tego wyniknie?



Zaniesiony zostałem do ziemianki, gdzie siedziało paru oficerów.

W dobry moment trafiłem. Była chwila stosunkowego zacisza, a pułk, do którego zaniósł mię szczęśliwy traf, odchodzić miał nazajutrz z frontu na wypoczynek. Humory były pyszne.

Mój piastun postawił mię ostentacyjnie na środku.

— Przybysz z nieba — oznajmił.

— Co za farsa, André?

— Fakt.

Zaczęli mię oglądać.

Oczywiście pisnąłem na przywitanie. Odpowiedziała obowiązkowa wesołość.

Obejrzeli mię na wszystkie boki. Podziwiali pomysł umocowania na mnie mapy i kompasu. W końcu jednomyślnie orzekli, że muszę być niemiecką mascotte'ą lotniczą.

— Ładna mascotte'a, co sama idzie do nieprzyjaciela — osądził ktoś lekkomyślnie.

Byłem oburzony, ale czułem, że prawda musi wyjść na wierzch.

Jakoż zobaczyli napis.

— To nie po niemiecku! — zawołał jeden. — Co to za język? patrzcie!



— „Mis Nied—wied—ki" — sylabizował ktoś z trudem. — Czy to nie po angielsku — Mis — Miss? — pytał z iście francuskiem językoznawstwem.

— Nie! zadecydował inny, bieglejszy, — to coś słowiańskiego.

— Un russe — trafił ktoś kulą w płot.

Tego tylko brakowało.

Ale i tym razem pospieszono mi z ratunkiem.

— Nie! Rosyjski alfabet inny! To chyba po polsku.

9*

— Co się kłocić? — zakończył mój opiekun. — Spadł z nieba do naszego okopu to nasz. Francuz i koniec. Dajmy mu obywatelstwo francuskie.

Roześmiali się chórem.

— Niechże będzie własnością pułku.



— No, kiedy tak, to ja go umieszczę na liście chrześniaków, — odezwał się, piszący coś na boku, młody oficerek. — Niech ma marraine'ę.

— Brawo, Feliks!

— A to się ucieszy jakowaś niewiasta — no! — śmiał się, przepisując starannie i nie bez błędu na szykowanej liście chrześniaków pułku obce sobie sylaby mojego nazwiska.

Awantura!

W miasteczku, do którego skierowano nas na wypoczynek, zaczęło się wesołe, żołnierskie życie. Umieszczono mię w oficerskiej menaży, gdzie schodzili się wszyscy na posiłek, gawędę, gry.

Zapoznałem się tam z Anglikami i Amerykanami. Byłem ulubieńcem wszystkich. Do Francuzów moich zbliżyłem się jednak najwięcej.



Lubiłem, kiedy, otrzymawszy dobrą wieść z frontu, śpiewali chórem bohaterską Marsyliankę. Albo kiedy, napełniwszy szklanki wesołem francuskiem winem, wznosili toasty zwycięskiej Madelon:

„Ohé, Madelon, remplis ton verre!"

Ale mimo wszystko czułem się trochę bezpańsko. Brakowało mi niby właściwej przynależności i zaczynałem na dobre tęsknić do swoich.

Pewnego wieczoru wpadł do menaży ten sam młody ofi-

cerek, który wciągał mię ongiś na listę chrześniaków pułku, powiewając tryumfalnie nad głową zaklejoną kopertą.

— Panowie! — wołał. — Korespondencya naszego niedźwiedzia! Mis-Nied-wied-ki ma list od marraine'y z Paryża.

— Co pleciesz?

— Patrzcie sami: Mis Niedzwiedzki — régiment etc., etc. Kto otworzy?

— Jego opiekun. André, jesteście?

Oficer, który odebrał mię niegdyś czarnym w okopie, umieszcza mię teraz uroczyście na środku stołu i z powagą mistrza ceremonii otwiera kopertę.



Wszyscy pękają ze śmiechu.

Czyta:

„Kochany Chrześniaku, panie Mis Niedzwiedzki! Jestem szczęśliwa i dumna, że los wybrał mnie właśnie na chrzestną matkę pana, — francuskiego żołnierza i syna bohaterskiego narodu. Znam zacną rodzinę polską pańskiego nazwiska. Są rodem ze Lwowa i syn ich jest lotnikiem. Czy to nie krewni pana?

„Wdzięczna będę za słowo odpowiedzi, a tymczasem pozwalam sobie przesłać Panu trochę przydatnych na froncie drobiazgów, a przedewszystkiem najlepsze życzenia i wyrazy gorącej sympatyi dla Pana i dla jego nieszczęśliwej Ojczyzny. Laura d'Antin. Paryż."

— Sacrebleu! Pokaż! — krzyknął, przyskakując nagle do stołu, mój oficerek. — Laura d'Antin. Ależ tak! Niema wątpliwości, — to ta sama. Ja ją znam!

— To odpisz za niedźwiedzia, a tymczasem dawaj przesyłkę!

— Przesyłka przesyłka! Weźcie tam z przedpokoju, ale — na Miły Bóg! — przysłużycie mi się niesłychanie! Jutro mam jechać do Paryża: wiecie! Dajcież mi zabrać niedźwiedzia. Będę miał sposobność oddać wizytę d'Antin'om z tym chrześniakiem.

— Jak Boga kocham, nasz Feliks się kocha!

— Głupiś!

— Damy ci niedźwiedzia, ale przyjedź z pierścionkiem.

Posypały się żarty.

Stanęło wreszcie na tem, że jadę do Paryża.

Spełniły się wróżby, rzucone żartem Feliksowi w menaży oficerskiej:

Zabrał niedźwiedzia, a wrócił z pierścionkiem. Panna Laura d'Antin, dawna jego znajoma, kiedy zjawił się w domu jej rodziców z tak nieprawdopodobnym chrześniakiem wojennym, uczuła się w pierwszej chwili nieco dotkniętą. Dała się jednak przebłagać tem łatwiej, że sprawcę, mimowolnie jej spłatanego żartu, otaczała już głośna sława wojenna. Zgoda została zawarta i przypieczętowana zaręczynowym pierścionkiem.

Wyjeżdżając z końcem urlopu, zostawił narzeczonej mnie, ponieważ panna Laura była zaciekawiona związkiem, jaki mógł zachodzić między pluszowym niedźwiedziem a znaną jej rodziną państwa Niedźwiedzkich? I postanowiła mnie z nimi zetknąć.

Serdeczne zaproszenie zostało wysłane i któregoś wieczoru, — czyż mogło być inaczej? — zjawili się u państwa d'Antin'ów — tak! — oni, — moi: najpierw pan Niedźwiedzki, a za nim — Staś.

Patrzałem z mojej etażerki i nie wiedziałem, na jakim świecie jestem.

Staś! Mój Staś! Niby inny w tym swoim uniformie lotniczym, a przecież jakże ten sam! Rozkoszowałem się jego widokiem. Rozczulało mnie jego poważne spojrzenie, i męski głos, i dziecinny uśmiech. Kochałem w nim każdy szczegół. Ze wzruszeniem patrzałem, z jaką troskliwością zwraca się do ojca, którego głowa pochyliła się nieco i zbielała przez te lata wojenne.

Po herbacie panna Laura przypomniała sobie mnie.

— Mam tu ciekawego imiennika państwa, — rzekła. — Muszę go zaprezentować, czy znajomy? — Szybkim ruchem zdjęła mię z etażerki i podała panu Niedźwiedzkiemu.

Nastąpiła chwila osłupienia.

I nagle ręce, które mię wzięły od niej zatrzęsły się lekko, w oczach, wpatrzonych teraz we mnie zblizka, — widzę dwie duże łzy. Staś, zajęty przed chwilą rozmową w innej stronie pokoju, zbliża się teraz do nas.



Spojrzał. Na twarzy maluje mu się to samo osłupienie. Wyciąga po mnie ręce:

— Miś! Słowo daję, Miś!

Wziął mnie. Sprawdza, głaszcze, pieści, bada obróżkę.

— Miś! Miś!

— Co za dziecińいstwo, prawda! — odzywa się wreszcie pan Niedźwiedzki do zdziwionych tą sceną państwa d'Antin.— Ale, widzicie państwo, to była ukochana zabawka moich dzieci. I dlatego...

Staś zwraca się gwałtownie do panny Laury:

— Ale skąd on jest u pani, tutaj? Skąd?

Panna Laura opowiada wszystko, co wie od narzeczonego z moich dziejów.

— Więc on był na tym froncie? Niesłychane!

— A jakież jeszcze dzieje musiał przechodzić, zanim się tutaj dostał — dodaje pan Niedźwiedzki. — Żeby to Hala wiedziała! Co Stasiu?

Nie przypuszczają, że Hala wie z moich dziejów to właśnie, czego oni tutaj nie wiedzą.

Na wspomnienie Hali smutnieją obaj. Brak wieści od pań niepokoi ich od zbyt dawna.

O! gdybym mógł mówić!

Panna Laura d'Antin po chwili wahania zdobywa się na postanowienie.

— Widzę, że trzeba będzie nam się rozstać, przyjacielu — zwraca się nie bez żalu do mnie. — Czas ci wrócić do prawowitych państwa.

— On się panu należy podwójnie — dodaje, zwracając się do Stasia — i jako dawna własność, i jako mascotte'a. Ręczę, że nie miał pan dotąd mascotte'y na swojem aero!

— Oczywiście, że nie — uśmiecha się Staś.

— A widzi pan. A trudno o lepszą!

I oddaje mnie Stasiowi, który ze wzruszenia ściska lekko oburącz mój brzuszek.

Mruczę pożegnanie państwu d'Antin, rozpływając się jednocześnie ze szczęścia.

Co za jutro! Co za boskie jutro!

— Szczęścić aeroplanowi Stasia!

Zaczynam wierzyć, że jestem swoją własną mascotte'ą.



Po chwilowym urlopie paryskim, Staś razem ze mną powrócił na front. Służył bowiem już wówczas jako lotnik wywiadowca w polskich oddziałach we Francyi.

Mimo całej radości towarzyszenia memu jedynemu, prawowitemu, panu, z czasów tych zachowałem wspomnienie prawdziwego piekła na ziemi. Był to moment ostatecznej walki.

Strumienie żelaza i ognia lały się nieprzerwanie. Grozą przejmowały potworne machiny wojenne: i działa olbrzymie, i wieże strzelające i, najstraszliwsze ze wszystkiego, potworne olbrzymy żelazne, nieubłagane czołgi.

Te przerażały mię najwięcej. Mroziła mię ich ślepa, obojętna moc. Sunęły na czele ataków, gniotąc wszystkie przeszkody. Zapatrzone były we własną tylko potęgę, wszystko jedno przeciw czemu skierowaną. Szły jak sama śmierć.

O, jakże żałowałem ludzi!

Szczęśliwy byłem, że dano mi, przeżyć te okropne chwile wysoko w górze, razem z moim panem, na tak szlachetnej jak samolot, machinie.

Zaprzyjaźniłem się z aparatem odrazu. Zaszczycił mię zwierzeniami. Jakże współczułem mu, że musiał służyć celom wojennym, — on, — tak zapatrzony w słoneczne jutro ludzkości.

Kiedy, potoczywszy się chwilę po terenie, odrywał się od ziemi, jak wielki, królewski ptak, czułem dla niego, niedającą się wypowiedzieć słowami, wdzięczność.

Wszystko zostawało w dole. W przestworzu, grzmiącem od szalejącej poniżej walki, byliśmy sami, wolni!

Czasem przeciwko nam leciał drugi olbrzymi, powietrzny ptak. Okrążaliśmy się szeroko wzajemnie. Coraz wyżej! coraz wyżej! Zawiązywała się walka: Dziwny turniej skrzydlatych rycerzy. My, — albo on. — Uchodził.

Często kule świstały nam koło uszu. Skrzydła naszego samolotu były od nich dziurawe. Śmierć krążyła koło nas w nieskończonej pustce.

Wtedy czułem, jak serce mego pana bije gorącą myślą o Ojczyźnie.

— O, czemuż to nie tam! I ci wszyscy bracia tam na dole, ofiarni w piekle cudzych walk — dla Polski. Wszyscy oni jednacy, — myślałem, — wszyscy — wszędzie!

Niebezpieczeństwo jednak tylko igrało z naszym samolotem. Przez cały czas walki zły los omijał nas, jak cudem.

I przeważyło się nareszcie zwycięstwo.

Front niemiecki został złamany. Wspólny wróg padł. W Austryi i w Niemczech rewolucya.

Teraz już wszyscy trzej zaborcy Polski leżeli w prochu.

Sprawa tryumfowała.

Przyszła chwila, że dostaliśmy rozkaz wycofania się z frontu na wypoczynek.



Jechałem na ciężarowem aucie, co wiozło mię razem z samolotem Stasia. I wtedy to, — w mijającym nas w drodze, długim orszaku zdobyczy wojennej, spotkałem raz jeszcze mego przyjaciela, wierny samochód belgijski.

Przy chwilowem zapchaniu drogi znalazłem się tak blizko, że zdołałem zamienić z nim kilka słów.

Był szczęśliwy.

Udało mu się tak pomyślnie zastrejkować w odpowiedniej chwili, że prusak musiał go zostawić na środku gościńca. Teraz służy swoim. Kieruje nim żołnierz rodak. Nie wątpi, że potoczy się jeszcze kiedyś po drogach belgijskich.

Gorącem życzeniem powrotu do wolnej Ojczyzny pożegnaliśmy się wzajemnie — na zawsze.

W WOLNEJ OJCZYŹNIE

Życzenie wiernego przyjaciela spełniło się rychło.

Oto jadę, zamknięty w podręcznej torbie Stasia, razem z dokumentami, notatnikiem i najkonieczniejszemi drobiazgami.

Wracamy do niepodległej Polski.

Stałbym u szczytu szczęścia, gdyby nie jedyna zgryzota: Razem prawie z tak upragnionym listem od Hali i pani Niedźwiedzkiej, że są u siebie w domu, nadeszła wieść o zajęciu Lwowa przez Ukraińców i o bohaterskiej obronie miasta.



Szczęściem Staś, będący obecnie na służbie u świeżo przybyłego do Francyi generała Hallera, został przydzielony do misyi sprzymierzeńczej, wyjeżdżającej do Polski wraz z jej wielkim wobec świata obrońcą.

Wyjątkowe okoliczności umożliwiły również panu Niedźwiedzkiemu przyłączenie się do jadących, tak, że wszyscy razem wyruszyliśmy do kraju.

Nigdy nie odżałuję, że jedyną podróż moją okrętem odbyłem w skórzanej torbie, która tylko z grzeczności udzielała mi skąpych objaśnień.

Jechałem okrętem — i nie widziałem morza! Jechałem do wolnej Polski — i nie widziałem Gdańska!

Czułem się głęboko pokrzywdzonym.

Dopiero w Poznaniu, na oknie Bazaru, wyjęty z mego podróżnego więzienia, popatrzyłem swobodnie na świat.

Popatrzyłem i poczułem odrazu, że chwila, na którą patrzę, jest momentem historyi.

Stary zegar, bijący właśnie, wygląda, jakby miał ochotę zatrzymać na niej wskazówki. Szyby mglą się, jak załzawione wzruszeniem oczy. W murach bije głębokie, dla przedmiotów jeno wyczuwalne, tętno.

Na ulicach kłębi się tłum. Czy to uroczystość tryumfalna, — czy — walki?

Ach, rozumiem!

Stary Poznań nie zrzucił dotąd jarzma. Nie zdołałem być w kraju podczas tak upragnionych przewrotów. Nie widziałem wypędzenia niemców z Warszawy, ogłoszenia niepodległości naszej w Krakowie oddania władzy, wracającemu z Magdeburskiego więzienia, Komendantowi, — zobaczę przynamniej obudzenie Poznania.

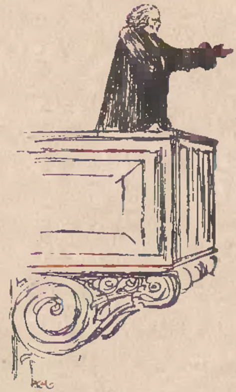
Idą ku nam szeregi dzieci. Coś we mnie drży wzruszoną pamięcią. Dzielne, poznańskie dzieci! Idą świadczyć, jak zawsze, że chcą być Polakami.



Na balkonie tuż obok mego okna stoi wysoka postać męska. Poznaję szlachetną, jasnowłosą głowę, widzianą już niegdyś podczas uroczystego przeglądu wojsk we Francyi.

W oczach ma żar natchnionego wzruszenia. Słucha swej, dziś tworzonej, żywej, najpiękniejszej pieśni.

W mieście walki.



Każdy kamień, każdy węgieł domu, każda odwiecznie polska piędź ziemi pod stopą — pomaga.

Niedługo dręczy mię wyrzut sumienia, że tylko z okna patrzę na drogą mi Sprawę.

Już padły nienawistne orły pruskie, czarne stróże niewoli.

Z ratusza wieje biało-amarantowa chorągiew.

Srebrny ptak wolności roztoczył skrzydła.

Zrasta się ziemia polska.

Jedziemy dalej.



Pochmurny ranek zimowy, ale we mnie słońce.

Podrywa mię niecierpliwość z mego samolotu, co stoi na polu Mokotowskiem, oczekując chwili.

Staś obchodzi aparat, bada, ogląda. O! może być zupełnie spokojny! Wszystko tętni w nas pragnieniem lotu i gorączką wiernej, serdecznej służby.

Za chwilę mamy lecieć do odciętego Lwowa z dobrą wieścią o idących posiłkach.

Przy hangarach na polu Mokotowskiem ruch. Sprawdzają jakiś świeżo nadesłany transport aparatów lotniczych.

Nagły hałas zatrzymanego blizko samochodu.

Zbliża się ku nam grupa wojskowych. Na barwnem tle mundurów jedyna siwa plama.

Pociemniało mi w oczach ze wzruszenia. A więc spełni się najtajniejsze marzenie. Zobaczę Komendanta!

Podchodzą do naszego aparatu. Niezapomniany głos pyta Stasia. On odpowiada radosnym raportem.

Tymczasem barwny adjutant pochyla się nademną.

Poznaję go. On to niegdyś przed chatą Komendanta ochrzcił mię pierwszy mascotte'ą.

Ale i on mię poznał. Daj mu Boże zdrowie!

— Toż to nasz brygadowy Miś! — woła ze zdumieniem. — Skądże ten znowu tu? Od kiedyż awansował na lotnika?

Zapytany Staś w paru słowach streszcza moje dzieje.

— Ależ to bohater z wszystkich frontów! Serwus — bracie! — i adjutant potrząsa żartobliwie moją, omdlałą ze wzruszenia, łapą.



Siwe oczy Komendanta popatrzyły na mnie badawczo.

I nagle... czyli to złudzenie moje? — oto stal ich mięknie, — na dnie przesuwa się łagodna mgła...

Widzę, widzę drogi wspomnienia:

Rozwalona chata pod grzmotem dział. Wierne, oddane na śmierć serca. Radosna w trudach bojowych pieśń:

„Siwe mundury,
A w butach dziury...“

Hej, Mocny Boże!

Dzierżąca ręka niespodziewanie miękkim ruchem dotyka mię przelotnie. Milczę od niewypowiedzianego wzruszenia.

Pamiętał...

Już odchodzą ku rojącym się ludźmi hangarom.

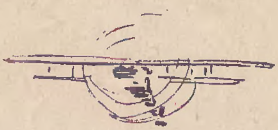
Ja i Staś, z jednakowem w obu uczuciem, patrzymy za nimi długo.

Czas na nas.

Motor zaczyna drgać, jak żywe serce, w terkocie śmig. Kółka obracają się chwilę po ziemi. Aparat sunie coraz prędzej, wreszcie wzbija się dumnie w powietrze.

Tamci obrócili się teraz ku nam raz jeszcze i patrzą.

Przed nami nieobjęty, chmurny przestwór zimowy i myśl o czekających we Lwowie kochanych.





Lecieliśmy wysoko, niedostrzegalni w chmurach, gorzej niż zimnym wiatrem targani niepokojem:

— Byle przetrwali!

Aparat wytężał siły i dyszał od napięcia energii, jak śmiertelnie spracowany człowiek. Pędziliśmy bez tchu. Przelecieliśmy szczęśliwie nad frontem. W dole kanonada, łuny... Minęliśmy.

Teraz pod nami miasto. Zniżamy lot. Badamy teren. Lądujemy.

Dostrzeżono nas oddawna. Na placu awiacyjnym otoczono nas odrazu. Zczerniałe, przemęczone twarze, rozradowane w tej chwili naszym widokiem.

— Trzymają się resztą sił. Byle prędko posiłki!

Rozglądam się z rozczuleniem dokoła. Toż to Plac Wystawy! Stąd wyruszyłem niegdyś w życie.

Staś ma iść do komendy. Przedtem jednak odczepia z aparatu mnie i, zawiniętego w płaszcz, powierza żołnierzowi.

Drżę z niecierpliwości.

W komendzie zameldowany wchodzi natychmiast. Ja zostaję w poczekalni z żołnierzem.

Staram się, jak mogę, podmówić płaszcz, by rozluźnił się nieco dokoła mojej osoby. Korzystając z pierwszego ruchu, rozwija się więc, jak na zawołanie.

W tejże chwili słyszę jakieś otwarcie drzwi i głos, dziwnie mi znany, mówiący:

— A cóż będzie z naszym odcinkiem? Bo jeżeli jutro...

Nie wytrzymałem. Wyślizguję się żołnierzowi z płaszcza na ziemię, piszcząc głośno w upadku.



Znajduję się wprost pod nogami mówiącego. Nie myliłem się: — mój ułan.

Krzyknął ze zdumienia:

— A ten skąd!

I już mię podnosi, ogląda. Zwraca się do wytrzeszczającego oczy żołnierza:

— Skąd ten niedźwiedź?

— Melduję posłusznie, ta, ja to lotnikowi z Warszawy tobołek niósł. A tu....

— Lotnikowi z Warszawy! Gdzież on? — przerywa, nie słuchając dalej, mój ułan.

—Melduję posłusznie, ta, w komendzie.

— Dobrze.

Bierze mię od żołnierza i obraca z rozczuleniem na wszystkie boki.

Żołnierz tymczasem mruczy sam do siebie:

— Ta, co mu za ochota, takiego wozić. Niosę ja tobołek,— piszczy cosi. Ki licho, myślę, — ale nic. A tu wyskakuje ci taki, publikę człowiękowi w komendzie robić.

Za chwilę wraca Staś.

Mimowoli uczestniczę w ich uścisku. Uśmiechają się.

— A rodzice? a Hala? — pyta gorączkowo Staś.

— Zdrowi! zdrowi! Hala z ciocią pewnie o tej porze w szpitalu przy rannych. Chcesz? Pójdziemy do nich.

— Chodźmy!

— Czekaj, tylko jeszcze trzeba tego wojownika zawinąć — mówi ułan.

— A ty go znasz?

— A któż go miał w Rosyi, jak nie ja? Pod kim on tam ze mną nie służył!

— W imię Ojca i Syna! — zdumiewa się Staś.

Zawiązany lekko w płaszcz i niesiony dalej przez żołnierza, piastującego mię z pełną szacunku niechęcią, wystawiam trochę głowę przez otwór zwinięcia.

Jakże miasto zniszczone! Strzały huczą. Domy szczerzą boleśnie oczodoły wybitych okien.

Słucham rozmowy:

— To tu zaczęła się obrona! — pokazuje ułan Stasiowi, mijany gmach szkolny. — Tu padły pierwsze strzały i polała się pierwsza krew — dzieci. Tak. Dzieci i kobiety uratowały miasto.

Staś patrzy chwilę i, podnosząc poważnie rękę do czoła, oddaje cześć.





Jestem w zacisznym, dobrze znanym, najmilszym pokoju. Czy cokolwiek innego istniało kiedy na świecie? Przeszłość wydaje mi się dziwnym, szalonym snem.

I wędrówki bez końca i walki dawne tam, daleko. Nawet powrót do kraju i pierwszy lot do oblężonego Lwowa — czyliż to nie był sen?

A potem tych parę ostatnich miesięcy: Droga do Wilna. Zwycięski lot nad wyzwolonem miastem. Powrót.

Jak w czarnoksięskiej latarni przesuwają się w pamięci obrazy:

Stary Poznań. Tętniące ulice Warszawy. Rynek Krakowski. Ostra Brama w Wilnie. Lwów.

Niebezpieczeństwa minęły.

Pod rozradowaną lampą zasiedli oto wszyscy moi kochani.

Nie brak nikogo. Co za cud!

Państwo Niedźwiedzcy o posiwiałych nieco od przejść wojennych głowach patrzą radośnie na Stasia i Halę, rozkwitających, jak sama młodość. Zosia, przytulona sierotka, dzisiaj pieszczocha wszystkich, nie spuszcza oczu ze swego starego przyjaciela, ułana.

Nawet stara kucharka drepce radośnie koło stołu, nie mogąc się nacieszyć „swojem państwem, pozbieranem po świecie".

Na honorowem miejscu wpośrodku — ja.

Mówią o mnie.

— Czy też ty myślałaś kiedy Halu, — pyta Staś, — że twoja zabawka wyrośnie na taką personę?

— A ty, czyś myślał, jakeś nad nim chrzestną mowę recytował, że go będziesz samolotem wozić? Co? — odpowiada Hala.

— Ale, że to niesłychane, gdzie ten niedźwiedź nie był, to fakt, — dodaje ułan.

— Żeby tak w książce opisał, toby nie uwierzyli — robi słuszną uwagę stara kucharka, znająca już moje dzieje od początku do końca, jak pacierz.

— Bo Miś jest zaczarowany — oświadcza niespodziewanie Zosia.

— Zaczarowany to on nie jest, moje dziecko, — uśmiecha się do Zosi pan Niedźwiedzki, — ale że w tem jest doprawdy coś nadzwyczajnego, — dodaje już poważniej — to niema dwóch zdań.

— Opieka Boska — mówi pani Niedźwiedzka.

— Pewno, Mamusiu! Ale przecież Miś był naprawdę mascotte'ą — upomina się o mój honor Hala.

Kochani! Oni wierzą, że ja im przynosiłem szczęście!

Czuję się wzruszonym i zawstydzonym zarazem.

Czemże bo ja byłem? Czemże jest mascotte'a?

Odbiciem ich. Ich własnych życzeń, ich wiary, ich woli.

Przypomniałem pamiętne słowa lustra. Spełniły się co do joty.

Byłem *dzieckiem szczęścia.* Doszedłem do wróżonego celu. Służyłem wiernie ludziom.

— A cóż będzie dalej z Misiem? — zapytał nagle pan Niedźwiedzki.

— No! przecież Stasia nigdy chyba nie puścimy bez Misia na samolocie!

— Oczywiście, — zgadzają się wszyscy.

— Słusznie, — myślę i ja. — Jeszcze się znajdzie robota. I rozczulonem spojrzeniem ogarniam wszystkie te kochane twarze ludzkie i drogie mi kąty i, uśmiechające się do mnie zewsząd, stare, wierne towarzysze ze świata rzeczy.

Hej! czyliż szeroki świat nie stoi otworem dla pluszowego niedźwiedzia!

W pogodnem słońcu sierpniowego ranka, nad przystrojoną w biel i amarant stolicą krąży samolot Stasia.

Szybuje spokojnie, zniżając się powoli. Pod nami Saski plac.

Sobór na środku, jak potwór starej krzywdy, obcy, olbrzymi, skamieniały ze zdumienia, — patrzy.

Fronton utonął mu w sztandarach i zieleni. Na stopniach ołtarz.

Dokoła czworoboki wojsk. Wyciągnięte jak struny, barwne, jak grzędy kwietne, świecą nieskończone szeregi żołnierzy.

Chodniki, okna, balkony zalał ciekawy tłum.

Cisza.

Nagle z dwóch stron wybuchają orkiestry ukochanym hymnem:

„Jeszcze Polska....“

Przeleciały chorągiewki szwoleżerów eskorty.

Naczelnik.

Idzie przed szeregami. Gdziekolwiek przejdzie, — tam zapala się krótka błyskawica oficerskiej szabli i przepływa miarowa fala prezentowanej broni.

Za nim dostojnicy cudzoziemscy i nasi. Sztab.

Msza polowa, dziękczynna.

I ja się modlę — radością.

Trzy tryumfalne salwy wstrząsają powietrzem.

Koło naszego samolotu krąży już grono innych. W słońcu nad ten tęczowy plac rzucamy garściami białe, ulotne kartki.

Lecą, trzepocą się w słońcu, krzyczą:

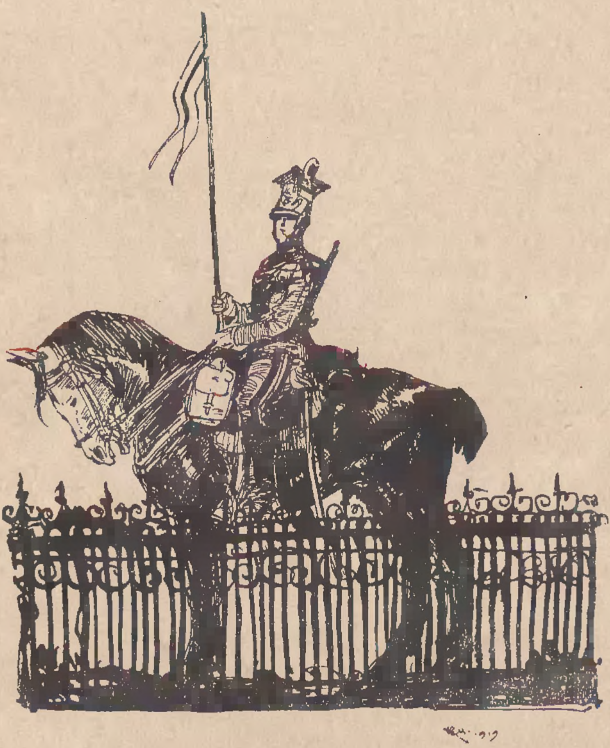
— Rocznica!

— Święto żołnierskie wolnej Polski!

— Cześć!

Na czele nieskończonych szeregów idą ci, co przed pięciu gorzkiemi laty w taki sam poranek sierpniowy wyszli setką szaleńców przeciwko milionom.

A dziś?



Płyną za nimi wszystkie rodzaje broni. Piechota, konnica, artylerya. Nieskończony, niepowstrzymany potok.

Defilują przed Naczelnikiem.

Jedyna, nieruchoma, siwa plama odcina się wyraźnie na tle kwietnych, płynących barw.

Stalowy lemiesz, co uprawił te grzędy, Grudka ziemi, z której wszystko wyrosło .

Wojsko polskie!

Nie potworny wąż zaborców i niewolników, ale zastęp wiernych obrońców naszej i cudzej wolności.

Poznaję tylu z nich, choć, niestety, brakuje tylu! Przyjaciele moi ze wszystkich formacyi. Gdyby nie to, że przytroczony jestem mocno do mego samolotu, zeskoczyłbym chyba tam do nich!

O, czemuż nie mogę maszerować razem?

W pamięci gra ukochana piosenka:

„Strzelcy maszerują,
Ułani werbują, —
Zaciągnę się!"

Ha! czyliż nie zaciągnąłem się już dawno?

Lecąc tak oto teraz w górze nad tym rozsłonecznionym placem, zdaję w mojem niedźwiedziem sumieniu raport z własnego drobnego żywota:

Służyłem wedle sił. Szedłem przeciwko wszystkim wrogom. Spieszyłem wszędzie, gdziekolwiek walczono o Polskę. Nie zdradziłem nigdy zasad, w których mię wychowano. Byłem wierny Sprawie.

Ale po co rachunki, jak po skończonej robocie?

Nie myślę przecie wcale o dymisyi.

Kto to wie, czego mogę dokonać jeszcze, zanim, syt przygód i sławy, spocznę wreszcie na laurach w polskiem muzeum wojennem!

SPIS RZECZY

WARSZAWA — ZARZECZE
1919 R.

TEJŻE AUTORKI:

Poezye.

Opale — Warszawa, Fiszer 1902.
Poezye — Lwów, Tow. Nakł. 1906.
Chusty ofiarne — Warszawa, Mortkowicz, 1910.
Krysta, poemat dramatyczny (niewydany), odznacz. na konkursie im. Słowackiego, 1910.
Aniołom dźwięku — Warszawa, Gebethner i Wolff, 1913.
A b c Polaka pielgrzyma — Charków, 1916.
Z Raptularza 1910—1917 — Charków, 1917.
Pierścień życia — Warszawa, Kas. przez Warsz. pom. księg., 1919.

Proza.

Liście jesienne — Lwów, Altenberg, 1905.
Zielnik — Kraków, Krzyżanowski, 1910. (W przygotowaniu).

Przekłady.

Księga Monelli. M. Schwob — Lwów, Połoniecki, 1906.
Liryka francuska, Tom I i II — Warszawa, Mortkowicz, 1910.
Wybór poezyi i Mysteryum Don Miguel Manara. Oskar W. Miłosz — Poznań, Ostoja, 1919.

Dla dzieci.

Książeczka Halusi — Lwów, Tow. Nakł. 1906.
O Janku planetniku — Kraków, Tow. szk. lud., 1908.
A B C — Kraków, Wojnar, 1907. (W przygotowaniu).
Córka Wodnicy — Warszawa, Jakowicki, 1914.
Bańka mydlana — Warszawa, Lisowska, 1914. (W przygotowaniu).
Dla dzieci — Charków, 1916.
Teatr dziecięcy - Kijów, Idzikowski, 1918. (W przygotowaniu).
Czy nas znacie — Warszawa, Wende.

BIBLIOTHECA
UNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS